# TATERNIK

ORGAN KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

WYCHODZI 6 RAZY NA ROK

ROCZNIK XXIII (1938/9) ZESZYT 3 (117)

●

TREŚĆ



●

WARSZAWA, MAJ 1939 R.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 41 m. 1; Tel. 241-47
FILIA ADMINISTRACJI: KRAKÓW, ULICA A. POTOCKIEGO 4; Tel. 112-77
CENA ZESZYTU 1 ZŁ. PRENUMERATA ROCZNA (6 ZESZYTÓW) 5 ZŁ.
KONTO CZEKOWE P. K. O. (ODDZ. WARSZAWSKIEGO P. T. T.) NR 4000

NAKŁADEM KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

# TATERNIK

ORGANE DU CLUB DE HAUTE MONTAGNE
DE LA SOCIÉTÉ POLONAISE DES TATRAS

PARAIT SIX FOIS PAR AN

XXIII ANNÉE (1938/39) NUMÉRO 3 (117)

VARSOVIE, MAI 1939

●

## SOMMAIRE



## ADRES
## ZARZĄDU KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO P. T. T.:
Warszawa, ul. Nowy Świat 41 m. l. Telefon 241-47

KONTO CZEKOWE P. K. O. (ODDZ. WARSZAWSKIEGO P. T. T.) NR 4000

ADRES KOŁA WARSZAWSKIEGO K. W. P. T. T. – jak wyżej.

ADRES KOŁA KRAKOWSKIEGO K. W. P. T. T.:
Kraków, ul. A. Potockiego 4 (parter). Tel. 112-77.

ADRES KOŁA ZAKOPIAŃSKIEGO K. W. P. T. T.:
Zakopane, ul. Krupówki, Dworzec Tatrzański. Tel. 13-39.

●

Zarząd Klubu przypomina pp. Członkom Klubu, że o zmianach adresu winni zawiadamiać zawsze Zarząd tego Koła Miejscowego K. W. P. T. T., do którego należą oraz Administrację „Taternika" w Warszawie.

●

**Zwracamy się do wszystkich przyjaciół „Taternika" o jednanie nam nowych czytelników i prenumeratorów.**



Widok spod Sentinelle Rouge na urwiska Grand Pilier d'Angle i Aiguille Blanche de Peuterey

Fot. J. W. Żuławski

Do artykułu pt. „Mont Blanc wschodnią ścianą"



Widok z trawersu pod Sentinelle Rouge na urwiska Aiguille Blanche de Peuterey

Fot. J. W. Żuławski

# T A T E R N I K

ORGAN KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

ROCZNIK XXIII (1938/9) • ZESZYT 3 (117)

WARSZAWA, MAJ 1939 R.

## † PROF. DR JAN GWALBERT PAWLIKOWSKI

*W dniu 5 marca 1939 r. zmarł we Lwowie w wieku 78 lat nestor polskiego taternictwa i duchowy wódz ruchu ochrony przyrody i swojszczyzny w Polsce, płomienny miłośnik Tatr i góralszczyzny i nieugięty bojownik o zachowanie ich rodzimego piękna w nie naruszonym stanie, członek honorowy Polskiego Tow. Tatrzańskiego, Klubu Wysokogórskiego PTT i szeregu innych towarzystw społecznych i naukowych, długoletni redaktor naczelny „Wierchów" — śp. prof. dr Jan Gwalbert Pawlikowski. Składając na tym miejscu hołd Jego świetlanej pamięci zapowiadamy ogłoszenie w jednym z najbliższych zeszytów „Taternika" obszerniejszej rzeczy o życiu, pracach i tej wyjątkowej pozycji, jaką swymi wyprawami tatrzańskimi, odbytymi w latach 1878—1880, zajął w historii taternictwa Jan Gwalbert Pawlikowski — zdobywca Mnicha i Szatana, odkrywca historycznych dróg na Łomnicę i Durny Sczyt z Doliny Dzikiej, sprawca obalenia legendy o niedostępności Jastrzębiej Turni i inicjator, a zarazem uczestnik pierwszej, czas swój o ćwierć wieku wyprzedzającej próby wejścia na Gierlach z Doliny Kaczej.*

— — — — — — — — — — — — —

*Pogrzeb śp. Jana Gwalberta Pawlikowskiego odbył się w dniu 10 marca 1939 roku na starym cmentarzu w Zakopanem i stal się wzruszającą manifestracją czci i przywiązania, jakimi darzył Zmarłego zarówno świat turystyczny, taternicki i naukowy jak i ukochana przezeń góralszczyzna. Licznie reprezentowane było na uroczystościach pogrzebowych Polskie Tow. Tatrzańskie i Klub Wysokogórski, w imieniu którego przemawiał nad otwartym grobem wiceprezes Klubu dr Maciej Zajączkowski.*

# MONT BLANC WSCHODNIĄ ŚCIANĄ *)

## I. „SENTINELLE ROUGE"

Schronisko Marguerite. Jeszcze nie zdążyłem przywitać się z członkami obozu treningowego, gdy doszły mię słowa: „Zdecydowaliśmy, że przejdzie pan „Sentinelle" w tym roku, ale z czterema przewodnikami".

---

*) 16. lub 17. przejście drogi „Sentinelle Rouge" wsch. ścianą Mont Blanc: inż. Jerzy Golcz, mgr Zbigniew Korosadowicz i J. Wawrzyniec Żuławski, 24—25 sierpnia 1938 r. (p. „Tat." XXIII, 20).

O swej samotnej próbie przejścia tej drogi w lecie 1937 r. pisał J. Golcz w „Tat." XXII, 113—120.

Tamże, na wkładce fot. wsch. ściany Mont Blanc oraz szkic na s. 115 z wkreślonymi drogami ścianą. Prócz pokazanych na tym szkicu dróg istnieje również wariant drogi przez Sentinelle Rouge, przebyty przez H. Lobenhofera, M. Burghartswiesera, F. Punza i V. Surrera, polegający na przejściu od Sentinelle Rouge lewej (orogr.) grzędy wielkiego Wielkiego Żlebu i połączeniu się z drogą E. Allegry z 1901 r. (p. także fot. w niniejszym zeszycie, na s. 60). *Przyp. red.*

Przepowiednia ta nie była mi zbyt niemiła. Rzeczywiście, po tylu latach wspólnych lub samotnych zmagań, gdy znowu choć w części trzeba było coś z siebie dać, perspektywa znalezienia opiekunów w czasie przejścia „Sentinelle", która rok temu wystarczająco znęcała się nad błąkającą się w jej okolicach, znękaną istotą ludzką — mogła wydać się tylko zachęcająca.

Jednakże między dniem tego spotkania a przejściem „czerwonego szlaku" miało upłynąć wiele wody. Los wykorzystał ten czas na burze, śniegi, choroby, które dziwnie wikłały zamiary, możliwości i przekonania każdego i wszystkich uczestników obozu — przepowiednia przechodziła różne koleje. Skończyło się na tym, że przeszedłem „Sentinelle", ale tylko z dwoma „przewodnikami".

Byli oni wzorowi. Roztoczyli nad prowadzonym „turystą" taką dozę opieki, zagwarantowali mu taką ilość bezpieczeństwa i wygody, że nawet pełna czwórka nie mogłaby zapewnić bardziej komfortowego wejścia. Dzięki temu dziś, z daleka „Sentinelle" przedstawia mi się niemal jako droga, którą przechodzi się „z rękami w kieszeni" — i myślę, że nie wytężyłbym się wiele mniej przebywając ją... w worku któregoś z towarzyszy.

Nie przesadzam. Toż Zbyszek nie tylko przez cały czas drogi w ciężkiej pracy rąk, nóg i czekana zapewniał nam wygodne „schody", ale jeszcze od czasu do czasu wbijał w śnieg mój czekan — dla własnego spokoju, ogólnego bezpieczeństwa a mojej wygody. Toż Wawa w ciemnej nocy i huraganie pracował bez wytchnienia, kując w lodzie półeczkę na biwak — gdy ja spałem obojętnie, opierając głowę o głowicę czekana. Toż obaj grzali na biwaku ciepłem własnych ciał me zmrożone członki, niedostatecznie chronione płachtą, która zamieniała się zwolna w strzępki jakiejś materii, świeżo wyjętej ze żrącego kwasu. Toż.. Ale dość wymieniania! Na każdym kroku obaj moi towarzysze mieli możność wykazania najpiękniejszych cnót przewodnickich — i niewątpliwie nie zaniedbali żadnej okazji.

Wszystko to miało miejsce później. Przed tym przeszliśmy kurację „sanatoryjną" — wszyscy, choć tylko dwóch było chorych. Samo „sanatorium" było podławe. Kształtem przypominało beczkę, objętością puszkę na sześć parówek. Aprowizacja stała na poziomie tak niskim, że go dostrzec było trudno. Klimat nie był specjalnie odpowiedni na uzdrowisko: dzień pogody, tydzień deszczu, wichur i śnieżyc. Wywieszone nad przepaścią, „sanatorium" nie tylko nie pozwalało na werandowanie, ale wszelki ruch poza drzwiami bez asekuracji zagrażał mało ciekawą, dwustumetrową przejażdżką powietrzną na Lodowiec Brenva.

Ale trudno, oddaje ono i tak usługi. Wyleczyłem tam przed rokiem oczy, wyleczyłem anginę, a teraz cała nasza trójka, budząca w ciemnej nocy istnym kaszlem gruźlików gospodynię pawilonu, tylko na nie liczy, by odzyskać dostateczny zapas zdrowia na zamierzone przejście „Sentinelle".

Nadzieje te nie były złudne. Kaszel znika w czasie dojścia na Col de la Fourche de la Brenva. Beczka zapewnia kilka godzin spoczynku. Pobyt jest może zbyt krótki na całkowite odrodzenie — może jeden Wawa skorzystał z niego należycie — daje jednak dostateczny zapas koniecznych sił. Zapewne, nie będę bynajmniej w dobrej formie i Zbyszek też będzie od czasu do czasu stękał. Ale co do niego, to jeśli „chory" potrafi w ten sposób prowadzić i wykazać taką ilość energii i wytrwałości w nieustającej, ciężkiej pracy „torownika", to będąc zdrowym chyba by pożarł tę drogę.

Tempo było rzeczywiście szybkie. Kilkakrotnie miałem ochotę ogłosić strajk, ale jakoś zawsze przewidujący leader w odpowiedniej chwili wbijał

mnie w dumę swoim: „On to tylko pyskuje, ale idzie", kierowanym rzekomo do Wawy, który deptał mi po piętach. No i ambicja zwyciężała.

Pod wieczór zresztą szybkość wydała mi się normalna, wreszcie nawet zbyt mała, szczególnie w chwili cofania się pod nakrywającą szlak barierą lodową. „Przewodnicy" orzekli zgodnie, że to ze stracu przed biwakiem — mnie się zdaje, że to w intuicyjnym wyczuciu jego następstw. I wtedy właśnie spostrzegłem, że biedny alpinista, uwiązany w środku, może się czuć jak pstrąg w basenie przez swe skrępowanie i radykalne pozbawienie wszelkiej możności inicjatywy.

Ale widzę, że gubiąc się w poprzedzającej te słowa ilości uwag i rozważań zapomniałem zupełnie, że mym celem jest opisanie przejścia przez „Sentinelle". Nie dziwię się. Czy warto bowiem poświęcać choćby słów kilka drodze, która wprawdzie zawsze tkwić będzie w pamięci, ale jedynie dlatego, że na przypomnienie jej do końca życia wystarcza opuścić wzrok na lewą stopę — że najsilniejszym wrażeniem, które pozostawiła, to nieskończony koszmar czterech miesięcy łóżka, bólu i niepokoju.

A jednak — warto. Po pierwsze dlatego, że ten czteromiesięczny pobyt więzienny stał się ostatecznie czynnikiem twórczym, rozpalił chęć rewanżu, wzmocnił chęć nowych zdobyczy, dał nowy cel życia — alpinizmu: najwyższe zwycięstwo. Po drugie? Bo droga była piękna — piękna nad wyraz — bo ta lawina, o sto, dwieście... tysiąc metrów pod stopami — męcząca nerwowo, straszna — zwierzę z okrutnie rozwartą paszczą, czyhające cierpliwie na ludzkie szczątki, które wpaść w nią mogą — wywierała hypnotyczne wprost wrażenie, z każdą chwilą bardziej fascynujące przez sam fakt, że brak jakiejkolwiek półeczki czy odcinka mniej eksponowanego nie dopuszczał na chwilę choćby do odprężenia nerwów. Poza tym szlak — piekielnie zawikłany choć tak prosty — zmuszał, nawet w czasie tego bezchmurnego dnia, by nie zapominać ani na chwilę o skutkach ewentualnej mgły. Do ostatniej prawie chwili nie dawał pewności znalezienia wyjścia. Grzmotem lawin na „Poire" przypominał ukrytą grozę tego spokojnego puchu. Bo straszliwy huragan i mieciona nim kurniawa zwiewanego śniegu — ziębiąca, przenikająca wszędzie, wysysająca ostatnie krzty wilgoci i kalorii ciepła z ciała — zmuszały do ostatecznego wytężenia energii i woli, by podtrzymać niszczejący organizm.

Bo wreszcie wszystko to razem pozwalało ocenić w całej pełni spokój, odporność i sprawność mych dwóch towarzyszy, którzy w kręgu rozpętanych żywiołów zdawali się wykonywać jakąś zwykłą, nietrudną, prostą pracę. Będąc zwykłym ogniwem po środku liny, mogłem widzieć i odczuwać tę ich równą, dokładną maszynową moc ludzi gór — prawdziwych alpinistów, którzy przez opanowanie ruchu i wysiłku, woli i nerwów, w najcięższych chwilach potrafią zamienić szaleństwo żywiołu na słoneczną ciszę, a oślizgłe, pionowe spady na płaską, wygodną taflą. I myślę, że jak warto tam było być, czuć i widzieć to wszystko, tak warto dziś o tym pisać.

Z Col Moore zachowałem przeciętne wspomnienia. Wtedy: tutaj zapadła decyzja i po walce wewnętrznej rozpoczęła się wspaniała walka z terenem. Dziś: ani cienia wątpliwości, wahania; żmudne wyciąganie worków na uskok.

Podejście pod Sentinelle nie więcej ciekawe, raczej deprymujące kontrastem, bladością dzisiejszej drogi w porównaniu do pełni zeszłorocznego życia — mego i natury. Tam gdzie nie było wtedy nic prócz lodu i skał,



WSCHODNIA ŚCIANA MONT BLANC
z trawersu z Col Moore pod „Sentinelle Rouge"
(ściana w wielkim skrócie) *)
Fot. J. W. Żuławski

gdzie grzmiały ciągle lawiny, a odpryski lodu i skał bez chwili przerwy cięły powietrze, grzędy i żleby, gdzie nieustające, straszliwe, wiszące niebezpieczeństwo było wprost dotykalne, gdzie trzeba było czekanem wytyczać zygzak w próżni, tam dzisiaj biały, spokojny całun świeżego śniegu, nie skażonego żadną czarniawą rysą czy brózdą, zakrywa wszystko i pozwala wznosić się równo, spokojnie, bez wysiłku i pracy, bo ostatnie zapory, jakie mogły pozostać, pokonywały nogi lub czekan Zbyszka. Los położył mi dzisiaj biały, miękki, bezpieczny chodnik.

Tuż za Sentinelle, tam gdzie trzeba było wprost wyrwać lodowi tych kilka metrów pod plującą zerwą seraków — to samo. Białe próchno uśpiło lód u góry, na dole przykryło białą kołdrą i zasłoniło bezpieczną, miękką warstwą verglas lewej grzędy Wielkiego Żlebu.

Wejście do niego, po śniegu, bez trudu, zdawało się ironią w porównaniu do zeszłorocznych wysiłków. Twardy jak szkło lód z zeszłego roku, zastąpił teraz śnieg. Rozliczne rynny lawinowe, które przed rokiem cięły żleb na całej szerokości, dzisiaj sprowadziły się do jednego, głębokiego lecz wąskiego koryta, którym płynie wspaniała, nurtująca, szalona ale przedziwnie lekka w swym pędzie, zbałwaniona grzywa zlodowaciałego puchu.

Prawdziwa walka miała rozpocząć się dopiero wyżej.

„Ostroga Smythe'a, wystająca ze środka żlebu, okazała się nie do użycia. Masy świeżego śniegu, verglas i białe tumany miecione huraganem uniemożliwiły nawet myśl o wspinaczce skałą i odrzuciły nas na śnieg i lód, w głąb żlebu, którego stromość stawała się w miarę wznoszenia się wprost niepokojąca. Dojście do rodzaju grańki lodowej, którą ostroga łączy się z zamykającą żleb u góry zerwą skalną, zdaje się być najcięższym odcinkiem drogi. W rzeczywistości jest to zaledwie słaby początek.

Pisałem rok temu, że osiągnięcie ostrogi wydaje mi się końcem niepewności i że dalsza droga zdaje się być prosta i jasna. Zaznaczyłem wtedy, że mogę się mylić, a dziś przyznaję, że omyliłem się bardzo — do tego stopnia, że dla odnalezienia dalszego szlaku we mgle i kurniawie trzeba by chyba mieć przy sobie stryczek po wisielcu — tak była ona, przynajmniej w naszych warunkach, zawikłana — i to nawet przy pełnym polu widzenia. Toteż zaraz u końca grańki teren dostarcza Zbyszkowi okazji do przeprowadzenia serii poszukiwań. Korzystam z tego i wpatruję się

*) Na fot. wkreślono fragmenty dróg wsch. ścianą Mont Blanc: ——————— droga „Sentinelle Rouge" (S = „Sentinelle Rouge"; ■ = biwak polskiego zespołu); ----------- droga „Sentinelle Rouge de gauche"; — · — · — droga „de la Poire". — Na fot. u góry na l. widać wierzchołek Mont Blanc de Courmayeur, po środku seraki górnej bariery lodowej na pr. (orogr.) grzędzie „Wielkiego Żlebu", na pr. barierę lodową pod niewidocznym na zdjęciu wierzchołkiem Mont Blanc. — Na zdjęciu J. G o l c z.

w dalekie, lodowate, przejmujące słońce, skryte w swej aż czarnej, tak granatowej szkatule sklepienia nieba, w to słońce, którego żaden promień nie jest w stanie przebić swym ciepłem szalejącej w okół kurniawy. Potem absorbuje mą uwagę potężna, niszcząca wszystko siłą swej wagi, szybkości i niesionego zniszczenia lawina zerwana na „Poire".

Zbyszek znalazł przejście. Wyrąbał w lodzie i wyczyścił z verglas szereg stopni. W takich warunkach i przy ubezpieczeniu z góry odcinek ten wydał mi się, pomimo swej stromości, drobiazgiem bez znaczenia.

I znów żleby, znów lód i śnieg i setki metrów ciężkiej pracy — oczywiście dla prowadzącego, nie dla mnie.



SERAKI WE WSCH. ŚCIANIE MONT BLANC
W dali „Arete de glace" Grani Brenva, za nią Mont Blanc du Tacul
Fot. J. W. Żuławski

Gdzie iść teraz? Teren jest zawikłany; zerwa seraków zamyka od góry dalszą drogę. Oni chcą, bym wyciągnął opis, by go się ściślej trzymać. Ja jednak — od czasu gdy w poszukiwaniu jakiegoś „opisowego" trawnika na Ostrym osiągnąłem wierzchołek przed znalezieniem go, nie czuję wielkiej ufności do tej literatury i ograniczam jej użyteczność do uzmysławiania sobie zasadniczej linii przejścia. Wolę kierować się własną orientacją i intuicją. Przy tym jest straszliwie zimno, śnieg wnika i bez mej pomocy do najdrobniejszego otworu, toteż mam małą ochotę ułatwić mu jeszcze drogę popod wiatrówkę. Muszę jednak ustąpić przed wolą większości i stosownie do prawa pisanego decydujemy o dalszym szlaku.

Minęło sto czy dwieście metrów, może więcej i wreszcie przed samym, zdawałoby się, końcem, przed wyjściem z czeluści na świat, na powietrze, Zbyszek stwierdza, że dalej „nie puści". Czy coś się zmieniło w terenie, czy opis był źle skonstruowany — dość że nie pozostaje nam nic innego, jak... odwrót. Ale dokąd? Można zapewne wyjść lodową grzędą z prawej strony, ale zwały nagiego, zielonego lodu i bardzo silne nachylenie dowodzą, że przejście tamtędy będzie wymagało długiej i uciążliwej pracy. Niżej natomiast długi język śniegu, zachodzący do żlebu od strony zboczy naprzeciw Maudit umożliwia napewno szybkie i łatwe wyjście. Schodzimy w dół. Ponaglam szybkość i oczywiście tu muszę wysłuchać całego szeregu żartów na temat mego strachu przed biwakiem i odkrytego w ten sposób przez towarzyszy straszaka na ponaglania mnie w przyszłości. Zresztą — rzeczywiście — za wszelką cenę chciałbym tego biwaku uniknąć i cała moja natura buntuje się przeciwko możliwości biwakowania na tych okrutnych spadach; chciałbym chociaż osiągnąć łatwiejszy, bardziej płaski teren.

Jak to ciężko jednak podjąć jakąś inicjatywę będąc drugim na linie! Wędruję od pierwszego do ostatniego i na odwrót, wreszcie rezygnuję. Niech tam „przewodnicy" dyskutują i myślą o przyszłości — zresztą zapada noc.

Wbijam dziób czekana w śnieg tuż koło Zbyszka, który robi to samo i zasypiam mamrocząc tylko przez sen: płachtę, płachtę!

Budzi mnie spokój i ciepło. Nie czuję wiatru ni mrozu, jestem zakryty czymś ciężkim. Wytrzeźwiam się powoli i zaczynam rozumieć. To Wawa, wykuwszy długą półkę w lodzie i stopień na nogi, narzucił na mnie „himalajski" śpiwór i teraz daje wyjaśnienia, w jaki sposób należy się urządzić, byśmy wszyscy znaleźli w nim osłonę. Staram się wysłuchać tych wyjaśnien i staram się zastosować do nich, wreszcie jednak stwierdzam z rozpaczą, że przy każdym ruchu rozdzieramy po kolei na strzępy ten wspaniały wytwór wysokogórskiego zabezpieczenia. Jeszcze czuję, jak Wawa stara się obetkać mnie śpiworem, jak spina agrafkami skrawki, a potem zasypiam na nowo.

Rano dopiero zapewnienie Zbyszka, że jesteśmy już w słońcu, pobudza mnie do wysunięcia głowy spod tego, co zostało z płachty. Tymczasem leci w dół rękawiczka Wawy, potem już dobrowolnie zrzucamy to co zostało z płachty biwakowej. Że doleciało do lawiny, dowiedziałem się w Entrèves od przewodników, którzy poszukując alpinisty niemieckiego, zaginionego na Grani Peuterey, wzięli naszą płachtę początkowo za jego szczątki. Niebawem Zbyszek, po kilkakrotnych próbach, wyprowadza nas na łatwy, lekko nachylony teren śnieżny.

Po raz drugi, po iluż latach, czuję jego pocałunek — szczery, skromny, bez słowa — wyraz zadowolenia z ukończonej pracy i osiągniętego celu. Towarzysze moi zapomnieli już o dokonanym przejściu. Obaj myślą teraz o przyszłości, o tych zdobyczach, których pragną i którę — wierzę! — osiągną bez wątpienia.

Kończymy wejście. Na szczycie Mont Blanc tkwi bez ruchu, jak posąg, sylwetka człowieka. Oparta na lasce i czekanie, nie przestaje nas intrygować. Nagłe powitanie uzmysławia mi, że to przecież Daniel Souverain.

Coś dziwnego dzieje się z przodem mej lewej stopy. Jakby wałek na skarpetce, jakby sparaliżowany początek stopy. Ale nic — poprawię to w Vallot.

Zwiedzamy to schronisko. Całe aluminiowe — brakuje jeszcze okien, brakuje pościeli. Tydzień temu odbyła się jego inauguracja. Ogłoszona z iście amerykańskim hałasem, miała się odbyć w obecności trzech francuskich ministrów. Skończyło się na inauguracji schroniska Vallot — w schronisku Tête Rousse, o tysiąc metrów niżej, dokąd dotarł najbardziej przedsiębiorczy minister Zay i oficjalna świta[1]). Nie dziwię się. Nie wiem, jak tam będzie po zainstalowaniu okien i azbestowej pościeli, ale dziś nie można się dziwić tej przykrej i orginalnej „inauguracji". Nie ma się tu nawet gdzie położyć, a temperatura — przypominająca z zewnątrz Saharę — tu zmienia się na biegun. Uciekamy też czym prędzej na słońce.

Schodzi Souverain. Bez wytchnienia rozciera nam po kolei odmrożone stopy. Pracuje godzinami i opowiada o swej alpinistycznej historii.

Ciężko ranny w czasie wojny światowej, ucieka z niewoli kryjąc się przed ludźmi, przepływając wpław rzeki, w głodzie i pragnieniu. Przetransporto-

[1]) ‚Tête Rousse" schronisko, które jest typem tego, czego w Alpach należy unikać, stało się w ten sposób sławne. Schronisko, w którym nie brak wody do mycia rąk i nóg dla osoby komenderującej konwią wina, i pełnych posiłków, ale w którym nawet szklanki wody brakuje dla tych, którzy na terenie gór obchodzą się bez opilstwa jak i bez obżarstwa. Nie ma szykany, której by tym ostatnim poskąpiono. I co dziwniejsze, że należy ono do Francuskiego Klubu Alpejskiego. Gospodarz „Tête Rousse" za swą „gościnność" został udekorowany — za to w Vallot tego samego dnia zmarł z zimna i wyczerpania inżynier, który instalował radio dla oficjalnych przemówień.

wany ze Szwajcarii do Francji, słucha spokojnie wyroku lekarzy skazujących go na dożywotnie odpoczywanie w fotelu. Ma przecież jedną nogę całkowicie sztywną, a drugą sztywną w kostce. Leżeć jednak przez całe życie?... Nie! To nie dla niego! Zwiedza na rowerze całą Francję posługując się jednym pedałem. Któregoś dnia dociera w ten sposób do Chamonix i góry „biorą" go. Przechodzi — przeważnie samotnie, bo może poruszać się tylko bardzo powoli — szereg dróg łatwych, trudniejszych, wreszcie takich, jak np. Grépon od Mer de Glace. Ostatnio biwakował szereg dni koło Vallot i na Mont Blanc, by sprawdzić wartość swego ekwipunku. Teraz nie ustaje w swej pracy przywrócenia do życia naszych stóp. Nie pyta, nie krytykuje, tylko rozciera. Żegnając nas życzy jeszcze braku przykrych skutków.

Trzech „gruźlików" szło w góry — trzech kaleków wlecze się w dół szosą — ironia zwycięstwa alpejskiego. Uprzejmość gospodarza w Visaille i uczynność napotkanego tragarza, którzy sprowadza nam auto z Courmayeur, godzą mnie z losem i światem.

Entrèves. Oddanie, pomoc i opieka reszty uczestników obozu — spokój. Rozjeżdżamy się. Oni do Polski, Wawa ze mną do Chamonix. „Sentinelle" minęła bezpowrotnie, zostawiając zresztą nieprzewidziane skutki. Uzupełniła jednak nasz dobytek, rozszerzyła działalność lodowo-skalną na drogi lodowo-śnieżne w wielkiej skali. Co nam pozostaje? Przodować w alpiniźmie sportowym już nie będziemy — największe i najgroźniejsze ściany alpejskie już padły. Zdobycie nawet jakiejś ultra-trudnej ścianki z tych co zostały w niczym sytuacji nie zmieni. Ale możemy i musimy wznieść się na najwyższy sportowy poziom alpinizmu. To leży niewątpliwie całkowicie w zakresie możliwości mych towarzyszy z Sentinelle i tych, którzy mogą się im równać. Jeśli o mnie chodzi, żywię nadzieję, że los pozwoli mi wziąć udział w tej ostatecznej sportowej rozgrywce — ale na takich prawach jak dawniej, jak zawsze. Stanowisko „turysty", tak zresztą wygodne, rzeczywiście nie dla mnie zostało stworzone i mam go po wiek wieków dość.

*Jerzy Golcz*

## II. FRAGMENTY WSPOMNIEŃ

Leży przede mną na biurku książka rachunkowa obozu alpejskiego 1938 roku. Zniszczony, pogięty na rogach, niewielki, czerwony zeszyt, w którym skrupulatnie zapisywałem wszelkie wydatki od chwili wyjazdu z kraju aż do momentu opuszczenia Courmayeur. Prawą część każdej stronicy wypełniają długie kolumny cyfr pisanych bądź piórem, bądź ołówkiem, podsumowane „do przeniesienia". W lewej połowie — zwięzła, jedno-dwusłowa notatka określa cel wydatku. Cyfry i notatki są suche, obojętne i obiektywne, lecz gdy zmęczony ich kontrolowaniem umysł zatrzyma się na chwilę, by spocząć — mała, niepozorna książeczka w czerwonej okładce zaczyna żyć. Cyfry i wydatki nabierają kształtów, oblekają się w ciało niby zjawy na seansie spirytystycznym, mówią, opowiadają — a poza nimi nieodstępnym tłem stają góry. Mocna zieleń alpejskich łąk i dolin, a wyżej groźny pejzaż, lśniący białością śniegów i kontrastujący czernią skał. Data? — 22 sierpnia. Pod tym pozycja. Czterysta dziewięćdziesiąt lirów kosztował nas pobyt w Entrèves. Rachunek chowam do kieszeni. Na stojąco dopijamy wieczorną herbatę. Obok. na krzesłach piętrzą się naładowane ciężko wory. Z każdego wystrzela w górę metrowy szpic czekana. Na poręczy niedbale zwisa lina. Na dworze już ciemno: jest ósma wieczór. Gospodarz życzy nam

powodzenia. „Z tarczą albo na tarczy" — dopowiada jeden z żegnających nas kolegów.

„No, chyba tym razem musi się już udać" — mówimy do siebie podchodząc w ciemności lesistą ścieżką. Ciepła, przytulna czerń lasu nasyca czarem nocy letniej. Nad głowami intensywnie świecą gwiazdy.

To już 23 sierpnia. Pod datą figuruje następna pozycja: rachunek w schronisku Mont Fréty. Żegnamy sympatyczną gospodę górską i ruszamy dalej. Mgły włóczą się po skałach i żlebach, zakrywają przełęcz Giganta, ku której wznosimy się zwolna po sypkich piargach. Wyżej chłodzi nas przenikliwy wiatr. Gdy dochodzimy do schroniska Torino, pogoda jest już zupełnie kiepska. Otulają nas gęsty chmury, przenika dotkliwe zimno — mroźny oddech tysięcy ton świeżo spadłego śniegu.

Po obiedzie zakopujemy się pod stertę koców. Trzęsiemy się jak potępieńcy. Któż by nam teraz kazał iść dalej? Na mróz i wiatr. Torować szlak brnąc po kolana w świeżym, zmarłym puchu. A jednak, po godzinie ni to drzemki ni to snu, ruszamy.

Po notatce, która określa wydatek na obiad w Torino. w książce rachunkowej następuje dłuższa przerwa. Snać wyszliśmy już poza zasięg mocy pieniądza. Poza terytorium gdzie pieniądz jest wartością namacalną lub wartością w ogóle. Teraz banknot pięćsetlirowy jest wart tyle co zwykły skrawek papieru. Bilon absurdalnie obciąża kieszenie. Gdy w skoku nad szczeliną ześlizgnie mi się noga, życia mego nie uratuje nawet majątek Rockefellera.

Uratuje je natomiast skromna, niepozorna lina z konopi. Zresztą noga nie ześlizgnęła mi się bynajmniej. To Jurek jakoś podejrzanie głęboko zapadł się w miękkim śniegu, gdy dochodziliśmy do stoków Col de la Fourche. Szczelina! Okrążamy ją ostrożnie z daleka.

Mgły ustąpiły. Słońce zachodziło gdzieś poza Mont Blanc. Szczyty i granie zadymiły pióropuszami śnieżnego pyłu.

„Nie idziemy jutro. Oszalelibyśmy chyba" — mruczę sam do siebie osłaniając się rękami przed atakiem wichru. To już wprost jakiś kataklizm powietrzny zrywa nam śnieg spod nóg i ciska w twarze. „Boska rzecz schronisko; tutaj w taką pogodę" — myślę dalej, stukając czekanem w zasuwkę zamkniętych na głucho drzwi. „Wspaniała!". Zadyszany od wiatru, skostniały, odrąbuję raki przymarznięte do butów.

Następnego dnia poszliśmy mimo wszystko. Wiatr trochę osłabł — mróz dręczył nas dalej, ale to nawet lepiej: świeży śnieg będzie może mniej skłonny do tworzenia lawin. Niebo było czyste, parę tylko chmurek włóczyło się nad dolinami. A zresztą — to ostatnia szansa przejścia „Sentinelle". Jeśli nie będziemy musieli zrezygnować z niej zupełnie. I chyba to zadecydowało.

Wzrok ślizga się automatycznie po białej, niezapisanej kartce czerwono oprawnego zeszycika. Myśl biegnie dalej i wypełnia tę lukę. Biegnie po lśniących lodem zerwach wschodniej ściany Mont Blanc. Po żlebach huczących lawinami. Po barierach seraków, przez które monotonnie przesypują się kaskady śnieżnego pyłu. Zatrzymuje się pod skalnym obeliskiem Sentinelle Rouge. Odpoczywamy tam. Miejsce jest zakryte od wiatru, słońce grzeje anemicznie, ale ostatecznie jest dość ciepło. W dole, na lodowcu są ludzie. Ekspedycja ratunkowa szuka zwłok pewnego Niemca, który zleciał spod szczytu Mont Blanc de Courmayeur. „Biedak" — myślimy sobie ze zdawkowym współczuciem.

Za to w piekle Grand Couloir współczucie nasze nabiera cech pewnej

solidarności z nieboszczykiem. Do pół łydki brniemy w bezustannie spływających lawinkach. Jest południe i lada chwila cały ten kolosalny żleb runie wraz z nami w dół. Wicher gdzieś z grani niesie chmury lodowych odłamków i smaga nimi twarze. Osiągnięcie „ostrogi" powitaliśmy jak zbawienie.

I znowu całe godziny walki z wichrem, skałą, śniegiem i lodem, z dominującym uczuciem zimna i wzrastającego wyczerpania. Aż wreszcie chwila, którą dziś jeszcze wspominam z przykrym dreszczem: chwila, gdy najwyższa bariera seraków okazała się niedostępna.

Cofamy się. Gorączkowe narady. Próby zejścia, strawersowania tu czy tam. Wreszcie beznadziejne poszukiwanie jakiegoś miejsca dającego możność zabiwakowania. Wstrząsający moment, gdy zbliżywszy się do towarzyszy dostrzegłem, że śpią wsparci głowami o czekany. Spali głęboko, na pięćdziesięciostopniowej lodowej stromiźnie. Moment, który mię uświadomił o kompletnym wyczerpaniu nas wszystkich.

Z trudem wyrąbuję maleńką półeczkę w lodzie. Zaledwie zdołamy usiąść na niej, skuleni, plecami oparci o skałę, raki wpierając w lód. Zaledwie głowy i ramiona zdołamy okryć płachtą biwakową.

Godziny nocy wloką się przeraźliwie wolno. Płachta popękała w dziesiątkach miejsc. Wiatr i dwudziestostopniowy mróz wciskają się do wewnątrz swobodnie. Krew coraz wolniej krąży w stopach — zamiera. Wzrok już od dawna przestał dostrzegać stronice niewielkiej, czerwonej książeczki, wypełnionej kolumnami cyfr. Widzi teraz białą, rozsłonecznioną pustkę wyżyn i idzie w ślad za naszymi znojnymi krokami, gdyśmy następnego dnia rano dochodzili do wierzchołka. Wiatr dognał nas i tutaj. Nie pozwolił odpoczywać zbyt długo. Zejściem do schroniska Vallot rozpoczęliśmy powrotny marsz do cywilizacji.

Niezapisana strona skończyła się. Pieniądz wrócił do swej normalnej roli. Wszystko w ogóle wróciło do normy, a tylko szarpiące bólem, odmrożone stopy są świadectwem wichru, mrozu, skały, lodu, lawin i tego wszystkiego, co było Wielką Przygodą i co zostało za nami. Nowy szereg zapisanych wydatków przypomina o powrocie pieniądza do władzy. Na samym początku data: 26 sierpnia, rachunek w schronisku na morenie lodowca del Dômo. Ścieżka zbiega ostro w dół stromym usypiskiem. Gospodarz i dwaj przewodnicy żegnają nas okrzykami zachęty. Każdy krok wywołuje bolesny skurcz twarzy. Kroków tych mamy przed sobą jeszcze wiele tysięcy.

26, 27, 28 sierpnia: lekarze, taksówki, hotele — cały łańcuch pozycyj rachunkowych związanych z likwidacją naszego pobytu w masywie Mont Blanc. I wreszcie — trzem spośród nas na koszty podróży do kraju. Jadą już. Zabierają ze sobą chorego Korosadowicza. W szarym świetle wczesnego poranku — pożegnanie. Takie sobie, pośpiesznie, mniej lub więcej zdawkowe pożegnanie, kryjące w głębi jakąś bezsensowną dramatyczność.

Tu już kończy się opowieść niepozornej, zniszczonej książeczki, w której sucho i skrupulatnie zapisywałem codzienne wydatki obozu alpejskiego. Dwie poziome kreski atramentowe i kilka niezapisanych kartek wypełnia do końca jej treść zamkniętą w formę z czerwonego kartonu. Nad atramentowymi kreskami widnieje jeszcze pozycja ostatnia: autobus. Szofer naciska starter, motor nie chce zapalić, w końcu zawarczał równo. Autobus rusza zwolna i stacza się w dół szosą w kierunku Aosty. Od czasu do czasu odwracamy głowy i widzimy góry zamknięte w ramy tylnego okna — jak obraz.

*J. Wawrzyniec Żuławski*

# PIERWSZA POLSKA WYPRAWA W HIMALAJE 1939 R.

*W kwietniu 1939 r. wyjechała do Indii pierwsza polska wyprawa Klubu Wysokogórskiego PTT w Himalaje. Celem jej są Himalaje Garhwalu (Kumaonu), ściślej zaś grupa Nanda Devi (7816 m), najwyższego szczytu tej części Himalajów i — Panch Chuli (6904 m)* [1]*. W skład wyprawy wchodzą członkowie zwyczajni Klubu Wysokogórskiego: inż. Adam Karpiński (kierownik wyprawy), inż. Stefan Bernadzikiewicz i dr inż. Jakub Bujak, oraz inż. Janusz Klarner, który bierze udział w wyprawie na koszt własny* [2]*. Piątym uczestnikiem wyprawy będzie oficer łącznikowy, a zarazem lekarz, którego przydzielił wyprawie Rząd Indii.*

*P. Minister Spraw Wojskowych, gen. dyw. Tadeusz Kasprzycki — prezes Polskiego Tow. Wypraw Badawczych — zechciał na prośbę Klubu Wysokogórskiego PTT objąć protektorat na wyprawą, której organizację przeprowadził Komitet Organizacyjny Polskiej Wyprawy w Himalaje pracujący pod przewodnictwem p. Aleksandra Znamięckiego, członka zwyczajnego KWPTT (p. „Tat." XXIII, 24).*

*Klub Wysokogórski PTT starał się o pozwolenie na wysłanie w 1939 r. wyprawy himalajskiej według jednego z trzech wariantów: (A) Karakoram, (B) Himalaje Garhwalu i Gurla Mandhata (7728 m) w Tybecie, (C) Himalaje Garhwalu. W końcu lutego br. władze brytyjskie udzieliły Klubowi pozwolenia na odbycie w 1939 r. wyprawy według planu (C). Odmowę w stosunku do planu (A) Rząd Indii umotywował udzieleniem już pozwolenia zgłoszonej wcześniej amerykańskiej wyprawie na „K2".*

*Wyprawa dochodzi do skutku przede wszystkim dzięki pełnemu jej poparciu przez Zarząd Główny Polskiego Tow. Tatrzańskiego, w szczególności jego prezesa, zarazem prezesa Klubu Wysokogórskiego, prof. dr. Walerego Goetla — i opiera się w głównej mierze na Funduszu Himalajskim PTT. Skromny budżet wyprawy uzupełniony został dzięki wielkiej życzliwości i pomocy władz i instytucyj państwowych.*

*Uczestnicy wyprawy wyjechali z Warszawy (via Suez i Bombaj) w dwóch partiach: 10 kwietnia inż. Karpiński, towarzysze jego — 23 kwietnia. Na koniec maja przewidziane jest już rozbicie bazy głównej na Lodowcu Lwánl po pd.-wsch. stronie Nanda Devi. Wyprawa potrwa w całości ok. 5 miesięcy, z czego ok. 2½ miesiąca zajmie sama akcja wysokogórska.*

*Zdążającej do Mekki alpinizmu wyprawie naszej towarzyszą najserdeczniejsze życzenia powodzenia od całego polskiego świata wysokogórskiego.*

---

[1]) Szczegóły dotyczące Himalajów Garhwalu i odbytych w nie wypraw znajdą czytelnicy w „Taterniku" XV, 102; XX, 109, 192; XXI, 28, 64—66, 96, 97, 145, 148—150, 181—185; XXII, 17, 18, 43, 61, 83, 105, 106; XXIII, 20.

[2]) Przy okazji w kilku zdaniach skreślimy wysokogórski dorobek uczestników wyprawy: Inż. A. Karpiński (najstarszy wśród członków wyprawy, liczy bowiem 42 lata) posiada wieloletnie doświadczenie tatrzańskie i alpejskie; w 1934 r. brał udział w I polskiej wyprawie w Andy, dokonując m. in. 1. wejścia na trzeci szczyt Ameryki, Mercedario (6800 m). Dr inż. J. Bujak (34 lata) odbył wiele letnich i zimowych wypraw w Tatrach i Alpach, zwiedził na nartach góry Skandynawii, a w czasie wyprawy w Kaukaz w 1935 r., której był projektodawcą, brał udział między m. in. w 1. trawersowaniu Burdżuli (4358 m) i w 5. wejściu na Szcharę (5184 m). Inż. S. Bernadzikiewicz (32 lata) w ciągu wielu lat dokonał w Tatrach szeregu wielkich nowych wejść letnich i zimowych, kierował dwiema wyprawami na Spitsbergen (w latach 1934 i 1936) i uczestniczył w trzeciej (w r.1938), jako też w wyprawie 1937 r. na Grenlandię. W czasie wyprawy w Kaukaz w 1935 r. dokonał wraz z dr. Bujakiem wspomnianych już wejść na Burdżulę i Szcharę. Inż J. Klarner, najmłodszy uczestnik wyprawy (29 lat), jest dobrze zapowiadającym się wspinaczem i ma za sobą szereg letnich i zimowych wejść w Tatrach.

# FAJKI — BUCZYNOWA *)

Święta Bożego Narodzenia i Trzech Króli przeszły w Tatrach bardzo korzystnie. Niepogoda i złe warunki śnieżne uchroniły mnie od wspinaczek. Lecz ta szczęśliwa passa musiała się kiedyś skończyć i gdy przyjechałem w góry na Gromniczną, pogoda była dobra, warunki wspinaczkowe również i nic mię już nie mogło ocalić przed atakiem na ściany.

2 lutego 1939 r. wprost w pociągu ruszam na Halę, skąd — zabrawszy tylko ekwipunek wspinaczkowy — idę dalej do Pańszczycy celem przetarcia szlaku, zorientowania się w warunkach śnieżnych i zmniejszenia obciążenia przy jutrzejszym podejściu. Dotarłszy do głazu ze źródełkiem na górnym piętrze Pańszczycy, zostawiam ekwipunek i ustalam program: jutro wschodnia Fajek, a pojutrze północna Wielkiej Buczynowej drogą „Jajanów".

3 lutego. Pobudka o $3^h$. Księżyc w pełni, pogoda „jak oko" — trudno, trzeba iść w góry. Wyruszam o $4^h$ i już o $7^h$ wchodzę do głównego żlebu wschodniej ściany Fajek, spadającego z siodła między Pańszczycką Turnią a Fajkami. Śnieg w żlebie dosyć grząski lecz z reguły nie zapadam się wyżej kolan. Niebawem dochodzę do pierwszego progu w żlebie. Prawa część progu oblodzona, ale lewa — pokryta śniegiem — pozwala na rychłe pokonanie przeszkody. O $7^h45'$ jestem już u podnóża górnego, kilkudziesięciometrowego, z kilku kondygnacyj złożonego progu mego żlebu. Próg zalodzony, rąbię parę stopni, ale uznaję, że samotnie lepiej tędy się nie pchać. Wracam więc ok. 30 m w dół i postanawiam wytrawersować ku południowi, na wczoraj jeszcze wypatrzone upłazy, które winny mię doprowadzić aż pod skały szczytowe. Przed trawersem odpoczynek: $8^h10'$ — $8^h30'$.

Trawers okazał się wcale ciężki. Śnieg cienką warstwą, nie dającą zbyt pewnego oparcia dla stóp, zalegał strome skałki i trawki, a odszukanie chwytów stanowiło prawdziwą zagadkę. Ekspozycja wzrastała w miarę oddalania się od żlebu. Miejscami twardy lód, lekko pokryty śniegiem, zmuszał do daleko idącej ostrożności. Wreszcie o $9^h20'$ osiągam grzędę i widzę przed sobą dość strome, lecz pozbawione trudności zbocze śnieżne, które doprowadzi mnie do początku skał szczytowych, już zaledwie jakieś 50 m poniżej grani. Rzeźba skał szczytowych wydaje się korzystna, śniegu na nich niewiele, więc mam wrażenie, że po zdjęciu raków uda mi się wejść na grań gdzieś niedaleko na lewo od wierzchołka. „Znakiem tego" ściana już tak jakby moja.

Jednak w owej chwili jeszcze moją nie była i wydostanie się na szczyt kosztowało mnie przeszło trzy godziny ciężkiej roboty. Zrazu poszło łatwo. Zboczem śnieżnym w 25 minut dochodzę do depresji żłobiącej się w skałach szczytowych. Stąd chciałem wspiąć się z lekkim odchyleniem w lewo w stronę turni o kształcie zakrzywionego rogu, widocznej jeszcze ze żlebu. Warunki terenowe okazały się jednak nie tak korzystne, jak to z dołu wyglądało. Śnieg zalega chwyty i stopnie, a lód też nie ułatwia sytuacji. Po kilku bezowocnych próbach w różnych kierunkach wychodzę w prawo na siodełko w grzędzie ograniczającej depresję od północy. Wejście na siodełko wydaje mi się ostatnią szansą do zrobienia ściany, choć skały nad siodełkiem wydają się niedostępne i nie wiem, co robić dalej.

---

*) 1. wejście zimowe wsch. ścianą Wierchu pod Fajki: mgr Stanisław Groński, dnia 3 lutego 1939 r. — 1. wejście zim. pn. ścianą Wielkiej Buczynowej Turni (l. połacią): dr Zofia Radwańska-Kuleszyna i mgr Stanisław Groński, dnia 4 lutego 1939 r. (P. „Tat." XXIII, 51).

Nie można jednak powiedzieć „nie puści", nim się skały nie ugryzie, więc ostrym koniem śnieżnym podchodzę pod samą ściankę. — Nie puści! — A jaka szkoda! Gdyby ciotka miała wąsy i gdyby udało mi się zrobić tych kilka metrów ścianki, to wyżej zapewne puściłoby przez płyty na pobliską już grań. A tak jestem w sytuacji bez wyjścia. Na prawo trawers do głównego żlebu wprawdzie możliwy, ale ostatnia partia żlebu wydaje się zbyt stroma, by przy aktualnym stanie śniegu można było liczyć, że mnie cienka jego skorupa utrzyma. W górę nie ma możliwości, robienie zaś eksponowanego trawersu w lewo i ponowne szukanie szczęścia w okolicy „krzywego rogu" przedstawia zbyt małe szanse pomyślnego wyniku. A zawrócić? Teraz, będąc już tak blisko szczytu, narażać się na wielogodzinne schodzenie tak eksponowaną ścianą wcale mi się nie uśmiecha. Czuję, że jestem w głupiej sytuacji, ale pocieszam się myślą, że skoro wyszedłem już z tylu opresyj górskich, to i teraz jakoś wyjdę z pułapki. A jak, tego jeszcze nie wiem. Najlepsza rada na bieżącą chwilę to usiąść, odpocząć po bądź co bądź siedmiogodzinnej dzisiejszej pracy i zjeść coś, by zebrać siły do dalszej walki i myśli do opracowania dalszego „gryplanu".

Doraźny plan był dobry. Wraz z pochłanianiem pierwszych egzemplarzy keksów i śliwek uzmysłowiłem sobie jasno, że jedyne właściwe postąpienie w danej chwili, to próba w kierunku dotychczas nie odpartym, to jest trawers w prawo do żlebu i liczenie na to, że może jednak górna partia żlebu puści. Wtedy znalazłbym się na siodle oddzielającym Pańszczycką Turnię od Wierchu pod Fajki, a dalej nie przewiduję już żadnych trudności przy wydostaniu się na szczyt. W obecnej chwili jestem od siodła pod Pańszczycką Turnią oddalony o jakie 30 m i o parę metrów wyżej od niego. Wadą planu jest duża ekspozycja. Muszę się z 10 m obniżyć stromym, śnieżnym zboczem, a pod nim mam 50-metrowy próg żlebu, tak że w razie obsunięcia się „marmolada" murowana.

Po 20 minutach odpoczynku rozpoczynam trawers. Śnieg zrazu głęboki, więc kilkanaście metrów przechodzę bez bólu aż do ostrogi skalnej oddzielającej mnie jeszcze od żlebu. Teraz opuszczam się wzdłuż ostrogi, ale niebawem natrafiam na nową przeszkodę — lód. Schodzić bardzo stromo w dół po szklistym lodzie, lekko pokrytym śniegiem, w znacznej ekspozycji i mając tylko moralne oparcie w pozbawionych chwytów skałach ostrogi — to rzecz niemożliwa. Zawracam więc w pobliże siodełka i próbuje trawersu niżej. I tu natrafiam na lód, lecz troszeczkę mniej stromy, a dzięki ukształtowaniu terenu nie muszę iść wprost w dół lecz ukosem. Jest jednak zbyt stromo, by powierzyć się rakom, więc rąbię stopień za stopniem i drobniutkimi kroczkami obniżam się zwolna. Wreszcie lód kończy się i mogę trawersować poziomo do żlebu. Teraz kwestia, jak tam ze stromością żlebu — czy puści? Okazuje się jednak z bliska, że ostatnia partia żlebu jest niezbyt nachylona i wydając zwycięskie okrzyki, w 55 min. od siodełka osiągam siodło między Pańszczycką Turnią a Wierchem pod Fajki.

Uff! Wydostałem się z matni. Ściana moja. Uznaję ją za najtrudniejszą z rzeczy, które robiłem samotnie w górach. Teraz nie sposób nie skoczyć na pobliski wierzchołek Pańszczyckiej Turni. Granią w obie strony w 10 minut jestem już z powrotem na siodle przełęczy i rozpoczynam podejście na wierzchołek Wierchu pod Fajki po głębokim lecz miejscami nie związanym z podłożem śniegu. Niebawem wydostaję się na grań i zaglądam w kotlinę Czarnego Stawu. Potem granią na wierzchołek. Śnieg na grani zupełnie rozmoknięty, lecz przy pewnej uwadze wydostaję się na blok szczytowy.

Odwrót następuje bardzo szybko. Na Żółtą Przełęcz, a potem po doskonałym śniegu w 10 minut od przełęczy jestem już przy nartach zostawionych przy najniższym punkcie ściany.

Ekwipunek zostawiam w tym samym miejscu co wczoraj i o $14^h45'$ jestem już na Hali.

4 luty. Pobudka znów o $3^h$. Nie jest to zbyt przyjemnie wstawać dzień po dniu o tak wczesnej porze, ale uważam, że ze względu na groźne zamiary na dzień dzisiejszy nie można wstać później. Wyruszamy z Kejsi o $4^h20'$. Zostawiwszy narty u stóp Wielkiej Buczynowej Turni, podchodzimy — częściowo na czworakach z powodu bardzo grząskiego śniegu — do początku zachodu przecinającego dolną część ściany Wielkiej Buczynowej. Już o $7^h15'$ rozpoczynamy wspinaczkę. Cztery długości liny i o $8^h30'$ jesteśmy na końcu półki, u początku właściwych trudności. Ukośne zacięcie kosztowało nas wiele trudu. Trawki, pokryte śniegiem, wymagały wyczynów ekwilibrystycznych celem utrzymania równowagi. Chwytów brak, a nędzna ich imitacja zbyt mała, by można ją wykorzystać w rękawicach. Oswobadzam z nich jedną rękę, lecz nie na wiele się to przydaje, bo potem trzeba poświęcić dużo więcej czasu na ogrzewanie ręki, niż się przed tym korzystało z ręki odkrytej. Po dłuższym czasie dochodzimy do punktu węzłowego naszej połaci ściany, gdzie zbiega się nasze zacięcie i dwa potężne kominy. Teraz trawersujemy w prawo, a następnie idziemy w górę, pod koniec po luźnych, zwietrzałych skałach, kierując się w stronę turni o kształcie fajki. Omijamy ją po prawej stronie i wydostajemy się na siodełko poza nią. Tu odpoczynek: $10^h30'$ — $10^h45'$.

Jeszcze jedna długość liny w górę, a następnie opuszczamy drogę „Jajanów" i trawersujmy w lewo do prawego z dwóch, poprzednio wspomnianych kominów. Nim w górę po niezłym śniegu, miejscami tylko przetykanym lodem. Robi się coraz zimniej, dokucza nam wiatr, a wiemy, że jeszcze znaczną część drogi mamy przed sobą. Dochodzimy do końca komina. Próbuję wydostać się w lewo, na pobliską północną-wschodnią grzędę, ale zbyt grząski i głęboki śnieg nie pozwala na to. Próba zrobienia końcowego progu komina wprost również zawodzi, bo przewieszki nie puszczają. Jesteśmy więc zmuszeni wytrawersować w prawo na otwartą ścianę. Po jednej długości liny dochodzimy do niezłego bloku i kilka metrów za nim rozpoczynamy trawers w lewo. Po dwóch długościach liny osiągamy północno-wschodnią grzędę i zaglądamy w czeluść żlebu wciętego w północno-wschodnią ścianę. $14^h$. Wiatr coraz silniejszy. Zimno przeraźliwe. Nad nami pionowe spiętrzenie grzędy o niekorzystnie uwarstwionych skałach. Próbuję pokonać je wprost, ale mimo wbicia haka i zdjęcia rękawicy nie puszcza. Trudno, trzeba obejść spiętrzenie. Trawersujemy w lewo. Śnieg tak twardy, że trzeba rąbać chwyty. Po dwóch długościach liny osiągamy z powrotem grzędę. Teraz ściśle ostrzem na szczyt.

— No, Kejsi, daj „grabę"!

Słońce! Po wielu godzinach marznięcia ogarnia nas lube ciepło. Temperatura zapewne koło zera. Godzina 15 minut 45. Słońce zamierza już zaraz schować się na Czarne Ściany. Na razie szukamy miejsca osłoniętego od wiatru, gdzie po 12-godzinnej pracy możnaby siąść i zjeść cośkolwiek. Miejsce takie znajdujemy o kilkanaście metrów poniżej wierzchołka. Słońce wnet zachodzi i robi się znów bardzo zimno.

O $16^h20'$ rozpoczynamy zejście. Zrazu schodzimy ku południowi na Orlą Perć. Nią do żlebu z Buczynowej Przełęczy i po dobrym śniegu na przełęcz. Tu dostajemy się znowu pod działanie tak miłego wiatru północnego.

Wiatr wydmuchał na przełęczy potężnego konia śnieżnego, tak że przełęcz jest o kilka metrów wyższa niż normalnie. Zachowując zrazu pewne środki ostrożności schodzimy ku północy po niezłym śniegu i w 15 minut od przełęczy jesteśmy już przy nartach. Całkiem już ciemno, więc zjeżdżamy powoli, bo zbyt wiele kamieni wystaje spod śniegu. Wierzchołki Żółtej Turni i Fajek oświetlone księżycem. Na dnie doliny zupełna noc. Oświetlenie mamy całkiem takie, jak mieliśmy rano: księżyc po prawej stronie oświetla wierzchołki gór na lewo od nas. I rano tak było, tylko że nasza lewa strona była wtedy od wschodu, a obecnie jest od zachodu. Księżyc zdołał już obiec ziemię dokoła, gdy walczyliśmy z Wielką Buczynową.

Mocno pomęczeni, dopiero o $20^h$ przybywamy na Halę, ku uldze tubylców, nieco już zaniepokojonych naszą, tak długą nieobecnością.

*Stanisław Groński*

# TEMATY LODOWE

***Ogłaszając pierwszą część niniejszej pracy, Redakcja pragnie podkreślić, że rozwinięcie się na łamach „Taternika" dyskusji nad żywotnym tematem techniki lodowej byłoby nader wskazane i ze wszech miar pożyteczne. Redakcja gorąco zaprasza do takiej dyskusji, mogącej gruntowniej oświetlić nasz temat.***

## I. TAJEMNICA HAKA LODOWEGO

Z Dent d'Herens schodzi kilku alpinistów stromym, śnieżno-białym lodowym stokiem. Celem asekuracji pierwszy ze schodzących wbija hak. Nagle powyżej nich pęka deska śnieżna i porywa wszystkich w dół. Silne szarpnięcie — hak wytrzymał.

Pn. ściana Grosses Wiesbachhornu. Znowu hak lodowy, wbity po kółko, ratuje życie dwóm wspinaczom zbitym z nóg pyłówką.

Pn. ściana Dent d'Herens. W. Welzenbach pokonuje barierę lodową użyciem trawersu linowego (Seilquergang) wisząc na wbitych powyżej hakach lodowych. Słynny trawers, słynna ściana — przełomowa data w historii alpinizmu lodowego. Pierwsze owocne zastosowanie nowoczesnej techniki skalnej w lodzie.

Ostatnie lata, lata triumfów człowieka nad „absolutnie" niemożliwymi zerwami lodowymi. Hans Ertl lansuje nową sztuczkę techniczną, tzw. „Pickelsitz". Do dwóch haków lodowych przywiązuje za pomocą pętli czekan tak, jak drążek gimnastyczny. Siedząc na nim, nogami zaś opierając się o lód można wygodnie wypracowywać przejście przez największe przewieszki lodowe.

A obok tych faktów — szereg wypadków wyrwania haków, kończących się śmiertelną jazdą w lodową otchłań, wreszcie „generalne" oblanie egzaminu przez dr. Karlem Prusikiem (por. „Tat." XVIII, 130).

Oto jego wyniki. Pierwsza próba — obciążenia 20—25 cm długości liczącego haka lodowego typu Welzenbacha (p. niżej), wbitego aż po kółko. Ciężar wynosił 80 kg. Ku zdumieniu Prusika hak zaczął zwolna poddawać się obciążeniu przechylając się ku dołowi. Próbę ponowiono w innym miejscu, po zrąbaniu wierzchniej warstwy lodu; wynik pozostał ten sam. Hak lodowy jako asekuracja okazał się bez wartości.

Próba druga — wyjścia ze szczeliny lodowej przy użyciu, jako stopni, haków i pętli. Do szczeliny został wpuszczony na linie alpinista wagi 85 kg, który wisząc w powietrzu wbił hak, założył pętlę i stanął w niej. Gdy tylko lina została obciążona hak zaczął przechylać się i to tak szybko, że wbicie drugiego haka było już niemożliwe.

Prusik tłómaczy to następująco: przez obciążenie haka powstaje na jego dolnej części wskutek nacisku ciepło (Druckwärme) powodujące topnienie lodu. Ponieważ siła ciągnąca w dół działa tak jak dźwignia, górna część haka zaczyna przesuwać się ku dołowi, podczas gdy koniec wznosi się do góry. Z chwilą dojścia do pewnego nachylenia hak musi wylecieć.

Czyli — lód i trawa jako podstawy asekuracji, przedstawiają równe wartości. Nie darmo współczesną „epokę lodową" naszego taternictwa poprzedziła „epoka trawników".

Równie fatalnie wypadł egzamin z asekuracji na wbitych aż po rękojeść czekanach. I to w dobrym firnie. Ale i u nas, wcześniej jeszcze pisał „Taternik" o problematycznej wartości asekuracji w zimie. Pozostawałaby jeszcze asekuracja moralna — podobno znakomita.

Mimo to cały szereg pozytywnych wypadków, jak wyżej przytoczono, obecnie zaś coraz częstszych, zmusza do głębszego ujęcia tego problemu [1]).

Pierwszym pytaniem, jakie się nasuwa przy czytaniu przebiegu prób Prusika, jest kwestia terenu doświadczalnego. Prusik podaje ją: lodowiec Gosau położony w grupie Dachsteinu, grupie wybitnie skalnej, sięgającej zaledwie 2996 m. Próba na lodowcu odbyła się prawdopodobnie na wys. 2500 m, a więc niezwykle nisko. Na tej wysokości ściany lodowe można znaleźć całkiem wyjątkowo. To pierwsza uwaga.

Drugie dotyczy kwestii spoistości lodu. Jak wiadomo, konsystencja lodu lodowcowego, zwłaszcza w niższych regionach, różni się bardzo znacznie od lodu na urwiskach ściennych. Wpływa na to szereg przyczyn, jak stromość, wysokość bezwzględna, wiatr, mniejsze nasłonecznienia itd. Lód w lodowcu jest gruboziarnisty, bardzo silnie przesycony wodą, znajduje się niemal stale w stanie odwilży [2]), słowem, daje znacznie mniejszy opór niż lód suchy, „zbity" lód ścienny.

Autor na własnej skórze przekonał się o różnicy między tymi gatunkami lodu w Alpach w 1936 r. Niemal całą potrójną zerwę Lodowca Wielinger można było pokonać bez bicia stopni, używając jedynie 10-zębnych raków Eckensteina, znakomicie chwytających gładzizny lodowca. Paręset metrów wyżej środkowe partie pn.-zach. ściany Grosses Wiesbachhornu zmusiły do rąbania stopni, mimo że nachylenie nie dorównywało na ogół serakom Wielingerkees. Najłatwiej można zaobserwować różnicę w konsystencji lodu przy stosowaniu asekuracji na hakach. W zerwach lodowca, w końcowych i dolnych partiach ściany, haki wchodzą lekko, bez większego wkładu siły; pierwszy hak na wspomnianej ścianie, wbity po kółko, dał się z łatwością wyjąć ręką. Kilka długości liny wyżej haki gięły się pod uderzeniem młotka, a siedziały tak znakomicie, że dopiero po całkowitym wyrąbaniu lodu dały się usunąć [3]).

Próbując podważyć jeden z haków, oczyszczony w 2/3 swej długości, przewlokłem przez karabinek drzewce czekana i opierając okucie o ścianę, podważyłem: grube, silne stylisko pękło, a hak ani drgnął.

Podsumujmy dotychczasowe uwagi zaczynając od kwalifikacji lodu. W literaturze alpejskiej odróżnia się dwa (G. W. Young — trzy) gatunki lodu.

1) Lód błękitny, lodowcowy, gruboziarnisty *(Blaueis, korniges Eis, Gletschereis).* Jest to lód powstający z kolejnego tajenia i zamarzania śniegu; świeżo spadły śnieg, wskutek własnej wagi oraz czynników atmosferyczno-termicznych „usiada się" zmniejszając swoją objętość. Powstaje biała, nieprzezroczysta masa, coraz uboższa w zawartość powietrza, zwolna przeistaczająca się w firn. Końcowym produktem jest gruboziarnisty, przezroczysty, prześliczny w kolorze lód lodowcowy — ten najważniejszy czynnik piękna w krajobrazie wysokogórskim.

2) Lód ciemny, „tatrzański", lód wodospadów i potoków, wypełniający rynny i szczeliny, czyli lód wodny *(Schwarzeis, Wassereis).* Jest to lód powstały nie ze śniegów lecz z wody, a więc z ciała bez porównania gęstszego i wywołującego zupełnie odmienny przebieg regelacji. Składa się on z całego szeregu warstw, kolejno powstałych na skutek napływu wody na istniejące już pokłady lodu — przypomina powstaniem miejską ślizgawkę. Lód ten, ogromnie twardy a zarazem bardzo kruchy, rozpryskuje się pod uderzeniami w postaci licznych, mniejszych lub większych kawałków i nie zezwala na tak dogodne cięcia czekanem jak lód lodowcowy, zrodzony z firnów.

3) Lód powstały ze śniegów przepojonych wodą i następnie zamarzniętych, tzw. *Schneeeis.* —

Zatrzymamy się chwilę na pierwszych dwóch gatunkach. (Trzeci, mało wyodrębniający się, ma znaczenie czysto teoretyczne).

W pierwszym rodzaju lodu posuwanie się w górę na samych tylko rakach jest możliwe, dla wprawnych „Eismanów" nawet do 70$^{0}$ nachlenia stoku. (oczywiście będą to krótkie odcinki) i pozwala na rozwinięcie bardzo szybkiego tempa, zwłaszcza przy 12-zębnych rakach, pomyślanych do tego właśnie terenu. Rąbanie stopni nie wymaga większego wysiłku fizycznego i jest stosunkowo łatwe — lód pozwala ciąć się w postaci płyt, w miejsce których powstają równe zagłębienia. Dwa — trzy właściwe uderzenie czekana, przy równoczesnym uzbrojeniu w raki, są najzupełniej wystarczające.

Lód ten ma jeszcze jedną przyjemną właściwość: dzięki chropowatej powierzchni nieźle trzyma śnieg.

---

[1]) W czasie zdobywania 2.000 m wysokiej zach. ściany Użby trudniejsze odcinki pokonywano „Seilzugiem" na hakach osadzonych w lodzie.

[2]) P. artykuł pt. *Warum fliessen die Gletscher* w „Deutsche Alpenzeitung", zesz. 4 z 1936 r.

[3]) Opisując przejście zach. ściany Użby wspomina Schmaderer, jak jego towarzysz, Vörg „...po b. długim czasie wyjął hak (lodowy) przypominający bardziej korkociąg" („Der Bergteiger" z kwietnia 1937 r.).

Pewność asekuracji waha się tutaj w bardzo szerokich granicach. Wszystko zależy od stopnia przesycenia lodu wodą, od wielkości ziaren, od wzniesienia, nasłonecznienia, nachylenia stoku itp. Ogólnie można powiedzieć, że na stromych ścianach o dużym wzniesieniu asekuracja jest dobra, zwłaszcza gdy chodzi o wytrzymałość na krótkie, mniej lub więcej gwałtowne obciążenie (upadek). Przy dłuższym obciążeniu, specjalnie wzdłuż osi podłużnej, jest wątpliwa i w bardzo wysokim stopniu zależna od aktualnej konsystencji lodu.

Zerwy lodowcowe (i — oczywiście — szczeliny) wskutek silnego przesycenia wodą przedstawiają teren wysoce ryzykowny, wierzchnia warstwa jest silnie „zbutwiała" i nieraz trzeba długo rąbać w lodzie, zanim dotrze się do bardziej solidnych, głębszych pokładów.

Lód wodny, suchy, przyjmuje wprawdzie trudno żelazo, tak przez swą twardość jak i kruchość, jednak dobrze wbity hak trzyma w nim znakomicie dzięki procesowi regelacji. Wadą jego jest wspomniana łamliwość. Pod wpływem rozsadzającego działania wbijanego haka niejednokrotnie odpryskują dość dużych nawet rozmiarów bryły lodowe, naruszając równowagę wspinacza. Jedna z takich tafli lodowych była przyczyną śmierci Toni Schmida na Wiesbachhornie.

Zatem zasada: zbadać przed wbiciem haka konsystencję lodu. Wierzchnią, niepewną warstwę usunąć, choćby to zmuszało do głębszego wkopania się w lód. W zależności od terenu stosować haki odpowiedniego kształtu i długości.

Poniżej umieszczona próba charakterystyki haków lodowych zajmuje się tylko ich głównymi typami. W wyniku stale prowadzonych badań i doświadczeń wyprodukowano całą gamę najrozmaitszych odchyleń od niżej podanych, jednak wszystkie dadzą się zaklasyfikować do tej czy innej grupy.

*Igły lodowe* (p. rys. 1) przez pewien czas były bardzo rozpowszechnione w Tatrach, zwłaszcza wśród członków dawnego Koła Wysokogórskiego przy O. W. PTT, pomimo ich małej wartości. Składa się na to ich wąskość (stąd łatwość cięcia lodu), względnie duża giętkość (trudność wbicia) oraz — wskutek braku nacięć — słaba wytrzymałość na szarpnięcie. Jeden z tych „haków" wbity przez znakomitego, starego wygę zimowego, wyleciał przy... ściąganiu liny.

*Haki typu Welzenbacha* (p. rys. 2) — pierwsze haki w historii alpinizmu, użyte po raz pierwszy na pn.-zach. ścianie Gr. Wieschbachhornu w r. 1925 przez W. Welzenbacha i F. Rigele[4]). Jest on właściwie niemal identyczny z dawnymi zwłaszcza hakami tatrzańskimi, które fabrykowane były z tym głębokim przekonaniem, że pewność asekuracji jest wprost proporcjonalna do rozmiarów haka. Wymiary jego wahają się w granicach 25—35 cm, szerokość wynosi ok. 2—3 cm., boki uzbrojone zadziorami. Hak ten pracuje doskonale i nie gnie się; wadą jego jest dość duży ciężar i — przy pewnych rodzajach lodu — zbyt duża szerokość, co powoduje silne rospryskiwanie lodu; jest to jednak *malum necessarium*. Na nasze, tatrzańskie warunki hak typu Welzebacha jest może najlepszy.

*Haki szablaste* przedstawiają nieco zmodyfikowany typ welzenbachowski — dłuższy, smuklejszy oraz wyrabiany z lekkiego, a zarazem bardzo giętkiego metalu. Po bokach bądź zadziory, bądź też karby. Poza tym nie różni się kształtami od poprzedniego. W Alpach Austriackich w 1936 r. należał wśród naszych alpinistów do najbardziej ulubionych. Wadą jego jest przesadna długość (40 a nawet i więcej cm), powodująca trudność wyjmowania.

*Haki Loibla* (p. rys. 3) pomyślane są bardzo ciekawie i są wprost znakomite, lecz tylko do 2—3-krotnego użytku. Jest to rura żelazna z nacięciami po bokach, długości 20—30 cm, średnicy ok. 2 cm; przez górny koniec przewleczone kółko, dolny koniec zaostrzony. Na skutek braku rdzenia wchodzi niezmiernie łatwo w lód (przypomina tym tzw. haki amerykańskie do ścian w mieszkaniach), dzięki zaś kolistemu profilowi ma minimalne własności „tnące". Wypełniający wnętrze haka lód wzmacnia jego „stabilność".

Niestety, haki Loibla posiadają jedną ogromną wadę: nacięcia są bardzo wrażliwe na uderzenia boczne (nieuniknione przy wyrąbywaniu haka) i rozszerzają się, rozpruwając hak, do czego przyczynia się i miękkość materiału.

Haki Loibla, zastosowane po raz pierwszy przez Włochów, a ostatecznie udoskonalone przez firmę F. Ralling z Fulpmes, należą do rodzaju tzw. haków rurowych. Mają one tę przewagę nad zwykłymi, klinowymi hakami, że nie działają na otoczenie rozsadzająco i dzięki temu mogą być zastosowane nawet w najgorszym, twardym, z systemu pękających płytek złożonym lodzie, który nieraz uniemożliwia wyrąbanie przyzwoitego stopnia. To jest ich największa zaleta.

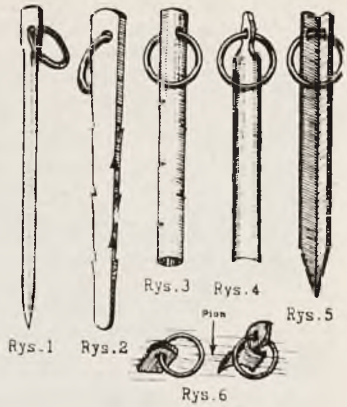
Haki rurowe nie są jednak uniwersalne, ponieważ nie gwarantują dostatecznego bezpieczeństwa przy obciążaniu wzdłuż osi podłużnej. Tutaj musimy przyznać wyższość

---

[4]) Por. Fritz Rigele: „Fünfzig Jahre Bergsteigen".

normalnemu, klinowemu typowi, który przedstawia znacznie większą siłę wiążącą wskutek dużego nacisku otaczającego lodu.

*Haki Grivela* (p. rys. 4) konkurują o pierwszeństwo z welzenbachowskimi i z szablastymi; na terenie Alp Zachodnich są bodaj wyżej cenione. Kształtem przypominają haki Loibla przecięte wzdłuż osi podłużnej. Dzięki ostrym krawędziom są łatwe do wbicia i wyjęcia; na szarpnięcia bardzo wytrzymałe, lecz tylko wzdłuż osi podłużnej. Wadą ich jest sposób osadzenia główki stanowiący piętę achillesową haka. Pod tym względem hak Welzenbecha jest dużo lepszy, choć tu znowu poprzeczne ustawienie kółka utrudnia manipulację liną (p. rys. 6).




*Kątowniki duralowe* (p. rys. 5) ze sławnej rodziny „Akarów", w które wynalazca zaopatrzył obficie polską wyprawę andyjską 1934 r., po pohańbieniu przy służbie namiotowej w zastępstwie kołków, doczekały się rehabilitacji dopiero w Alpach.

Z dwóch typów: z główką i bez, drugi jest znacznie lepszy (główka jest jeszcze mniej fortunnie pomyślana jak przy Grivelu). Powinny być jeszcze dłuższe o paręnaście cm oraz bardziej zaokrąglone na końcu. (Na tatrzańskie trawki lepszy jest obecny model). Używane były z powodzeniem w Tatrach w lodzie i w zamarzniętej trawie. Pomysł zastąpienia kółka każdorazowym użyciem karabinka niezbyt fortunny. Na twardy, „wodny" lód haki kątowe są nieco za giętkie.

*D .c. n.*

*Jerzy Pierzchała*

# NOWE DROGI W TATRACH W 1938 R.

*Zestawił Zdzisław Dąbrowski*

GIEWONT. Częściowo nowa droga wprost pn. ścianą: Jan Gąsienica Tomków, Stanisław Gąsienica Byrcyn i Andrzej Wawrytko, w lecie.

KOZIE CZUBY. Wariant na pd.-zach. ścianie: J. Pierzchalanka, F. Jęczkowski i J. Pierzchała, 21 września.

KOZI WIERCH. Nowa droga pd.-zach. ścianą: ci sami, 20 września.

GRANATY. Wejście pn.-zach. grzędą środkowego wierzchołka*: J. Staszel i J. Hajdukiewicz, 30 lipca. — Warianty na powyższej drodze: S. Motyka i W. Korzewski; J. Bochenek i tow. — Wejście „kominem Drege'a" w pn.-zach. ścianie*: W. Heniszówna, Z. Radwańska - Kuleszyna i T. Orłowski 27 września.

SZCZYRBSKIE SOLISKO. Wejście wsch. żebrem: R. Kubin, R. Oplt. V. Roland, K. Smidingr i S. Virost, 31 lipca.

MAŁA BASZTA. Wejście pn. ścianą: U. Kołaczkowska, W. Konarzewski i S. Motyka, 4 września.

WOŁOWIEC MIĘGUSZOWIECKI. Wejście pd.-zach ścianą: F. Jęczkowski i J. Pierzchała, 23 września.

NIŻNIE RYSY. 1. przejście dolnej części i 1. przejście całości pn.-zach. grzędy: Z. Radwańska-Kuleszyna i M. Zajączkowski, we wrześniu.

ŻABI SZCZYT NIŻNI. Nowa droga od pd.-zach.: F. Jęczkowski i J. Pierzchała, 24 września.

SIARKAN. Wejście wsch. żebrem i zejście ku pn.-zach.: J. A. Szczepański, 25 lipca.

SIARKAŃSKA GRAŃ. Nowe zejście ku wsch.: A. i J. A. Szczepańscy, tegoż dnia.

ZŁOMISKA TURNIA. Wejście wsch. ścianą: K. A. Jaworski, A. i J. A. Szczepańscy, tegoż dnia.

HRUBA TURNIA. Częściowo nowa droga pn.-zach. granią: Z. Radwańska-Kuleszyna, 9 września.

GRANACKA TURNIA. Wejście pd.-zach. ścianą*: L. Budinszky, M. Gattinger, F. Mikolik i J. Wein, 13 sierpnia.

JAWOROWY SZCZYT. Wariant na drodze nr 876 Przew Ch. i Ś.: F. Bar z Andrzejem Wawrytką, 5 sierpnia (p. „Tat" XXIII, 16).

MAŁY LODOWY SZCZYT. Częściowo nowa droga pd. ścianą: W. Konarzewski, A. Marusarz jun. i S. Motyka, 22 września.

SPĄGA. Częściowo nowa droga od pn.: ci sami, 23 września. — Wejście pn.-wsch. ścianą: ci sami, 9 września.

MAŁA POŚREDNIA GRAŃ. Wejście pn.-zach. filarem: W. Jaroszewski i J. Sawicki.

MAŁY DURNY SZCZYT. Wejście pn. filarem: S. Pfaffiusowa i J. Sawicki.

DURNY SZCZYT. Wariant na pd.-zach. grani: U. Kołaczkowska, W. Konarzewski, A. Marusarz jun. i S. Motyka.

CZERWONA TURNIA. Częściowo nowa droga od pd.: Devečka i J. Sawicki.

MAŁY KOŁOWY SZCZYT. Wejście pd. ścianą*: R. Damec, W. Konarzewski, A. Marusarz jun. i S. Motyka, 9 sierpnia (p. „Tat." XXIII, zesz. 1 [115]).

# Z TATR

**Sezon późno-zimowy 1938/39 r.**

Niezbyt ożywiony, ale wysokim niekiedy poziomem dokonywanych wejść odznaczający się tegoroczny taternicki sezon zimowy, przyniósł w okresie ferii wielkanocnych znów (por. „Tat." XXIII, 51) kilka wybitniejszych pierwszych wejść zimowych (np. na Stejłową Przeł., z Dol. Rówienek, na Pośrednią Jaworową Turnię, Jaworowy Róg itd), wśród których szczególnym rozmachem wyróżniło się *1. wejście zimowe pn. ścianą Galerii Gankowej,* dokonane 13 kwietnia przez dr W. Gosławskiego i K. Paszuchę z Krakowa. Przejście urwiska (lewą połacią, tj. szlakiem opisanym w Przew. Ch. i Ś. pod nr. 575) odbyło się w pełnych warunkach zimowych i poprzedzone zostało próbą, którą 10 kwietnia podjęli W. Gosławski, Z. Korosadowicz, K. Paszucha i M. Paully. Czwórka ta osiągnęła pod wieczór, wśród wielkich miejscami trudności, końcowy komin ściany, przy czym prowadzący wspinaczkę M. Paully dotarł do wys. 30—40 m zaledwie poniżej tarasu Galerii. Po biwaku okazało się, że odmrożenia — lekkie co prawda — jakich doznali dwaj uczestnicy zespołu, uniemożliwiają forsowanie najtrudniejszych w całej ścianie końcowych partii komina, wobec czego wykonano odwrót, wielokrotnie zjeżdżając na linie. Odprowadziwszy do Roztoki poszkodowanych towarzyszy, dr Gosławski i K. Paszucha wrócili 12 kwietnia do Dol. Czeskiej i po przenocowaniu w namiocie ruszyli do ponownego, tym razem już uwieńczonego sukcesem szturmu na ścianę. Dzięki ułatwieniom pozostawionym w najtrudniejszych miejscach podczas odwrotu, urwisko pokonano w b. szybkim tempie, w zaledwie 7 godzin. Pokonanie zimą pn. zerwy Galerii Gankowej — jedna z najwybitniejszych rzeczy zimowych, jakich dokonano w Tatrach — jest godnym podkreślenia i uznania świadectwem rozmachu nowej zimowej generacji polskich taterników.

Wyjątkową skąpą w śniegi tegoroczną tatrzańską zimą, która zaledwie w ciągu marca przyniosła większe opady śnieżne, podmuchy wczesnej wiosny już od początku kwietnia w szybkim tempie zbliżyły ku schyłkowi.

*Z. D.*

# SKALNE DROGI

**Mała Baszta.** *1. wejście pn. ścianą:* Urszula Kołaczkowska, Wacław Konarzewski i Stanisław Motyka, dnia 4 września 1938 r. (p. fot.).

Wejście w ścianę z kotliny Szerokiego Żlebu z pr. strony tępej ostrogi skalnej, stanowiącej jakby granicę między pn. ścianą a pn.-wsch. urwiskami porzeźbionymi przez skośne rynny i kominy. Wejście w skały o kilkadziesiąt m na pr. od owej ostrogi, przy jedynych tutaj, olbrzymich głazach, leżących pod ścianą. Pr. stroną mokrej u dołu rynny, przekształcającej się wyżej w skośnie w pr. biegnący trawiasty zachód, w pr. w skos ok. 40 m pod prawie pionową ściankę (kopczyk). Z zachodu trawers 6 m skośnie w l. ową ścianką prawie na jej krawędź, po czym wprost w górę na żebro i nim skośnie w pr. pod coraz bardziej spiętrzającą się górną część ścianki — do dwóch przylegających listew (asekuracja). Z wyższej listwy wprost w górę 2—3 m do wgłębienia i na górny, również w pr. w skos wznoszący się trawiasto-skalisty zachód (ząb skalny do asekuracji; kopczyk). W pr. zachód zwęża się i zmienia w skalną załupę. Nią dalej skośnie w pr., po czym przez trawiasto-piarżyste półki i balkoniki nieco w l. w skos i znów w pr. oryginalną załupą, w której sterczą jak książki, wielkie symetryczne głazy. Załupą w pr. na siodełko, z którego dalej nieco w pr. kruchą, trawiasto-skalistą de-

presją, i wreszcie w l. w skos, ominąwszy wielkie przewieszki nad „książkami" — na wygodną bulę. Z niej szerokim, trawiastym zachodem ok. 30 m w l., a potem wprost w górę pod potężną kulisę, pod olbrzymimi przewieszkami której biegnie skośnie w pr. wielka szczelina z kominkiem. W górę, równolegle do owej szczeliny po trawkach i kruchych półeczkach do wyraźnego zacięcia i nim w górę, po czym nieco w pr. po płycie na ostrogę. Z niej w l. przez 3-metrową ściankę do trawiastego wgłębienia i dalej skośnie w l. rysą do coraz wyraźniejszej depresji i na półkę z dużym głazem. Od głazu dalej w l. do kominka i na dużą płaśń, zasłaną olbrzymimi głazami. Stąd w górę poszarpanym, tępym żebrem, z początku jego l. stroną, potem nim samym (widać już stąd szczytowe partie ściany). Z poziomej części żebra przekraczamy szeroki, trawiasto-piarżysty żleb, który opada z pr. strony, z szerokiego trawiastego siodła. Pod szczytowe ścianki na wygodne, olbrzymimi głazami zasłane siodło z 2-metrowym zębem skalnym, skąd 3 m w górę i nieco w pr. poza ząb w ściance, po czym w górę poszarpanym i siodełkami przeplatanym żebrem na pobliski wierzchołek.

*Droga interesująca, w dolnej części nadzwyczaj trudna. Czas 1. przejścia: 4 godz.*



PÓŁNOCNA ŚCIANA MAŁEJ BASZTY
Fot. S. Motyka.
– – – – droga opisana obok.
• • • • • • (wejście w ścianę jak w 1938 r.): szlak pierwszej próby (V. Šťaflova i S. Motyka, we wrześniu 1936 r.).

# KRONIKA HIMALAJSKA

**Druga amerykańska wyprawa na „K2" (8610 m)** (por. „Tat." XXIII, 18—20) przybyła do Bombaju w pierwszej połowie kwietnia. Po 3-tygodniowym treningu w masywach Himalajów w pobliżu Srinagar, wyruszy ona w Karakoram, by w końcu maja rozbić bazę u stóp drugiego szczytu świata. Bierze w niej udział 6 alpinistów z USA: Chappell Cranmer, Eaton Cromwell, Bestor Robinson, Fritz H. Wiessner (kierownik wyprawy), Dudley F. Wolfe i szósty uczestnik, którego nazwiska nie znamy — poza tym brytyjski oficer transportowy i 9 Szerpów.

**Polska wyprawa w Himalaje Garhwalu** omówiona jest na s. 66 nin. zeszytu.

**Piąta niemiecka wyprawa na Nanga Parbat (8114 m)** wyrusza w br. w składzie 5 osób, pod wodzą Piotra Aufschnaitera, uczestnika wypraw na Kańczendżöngę. Sensacją jest zamiar rekonesansu „drogi Mummery'ego" z 1895 r. (z Lod. Diamirai i pn (granią), którym atakować ma szczyt zamierzona na 1940 r. wielka wyprawa zdobywcza.

# KRONIKA ALPINISTYCZNA

**Wyniki alpinistyczne polskiej wyprawy 1939 r. w Ruwenzori.** Zorganizowana przez Polskie Tow. Wypraw Badawczych alpinistyczno-naukowa wyprawa w Ruwenzori (p. „Tat." XXIII, 22) w pierwszych dniach marca br. zakończyła swą 1½-miesięczną działalność. Tworzący grupę alpinistyczną wyprawy dr Tadeusz Bernadzikiewicz i mgr Tadeusz Pawłowski spędzili w głębi Gór Księżycowych 40 dni, przebywając wzdłuż śnieżne gniazda łańcucha od Przełęczy Roccati na pn. po górne piętro Doliny Nyamgasani na pd. i dokonali 8 wejść szczytowych, przy czym weszli na trzy szczyty dziewicze i przeszli szereg nowych dróg.

W końcu stycznia obaj alpiniści zwiedzili masyw Gessi, dokonując w nim 2. wejścia na Przełęcz Roccati (ok. 4300 m), 2. wejścia na szczyt *Bottego* (4719 m) i 3. wejścia na szczyt *Yolande* (4769), z którego schodzili olbrzymim, śnieżnym żlebem w zach. ścianie tego szczytu. Na początek lutego przypadła działalność w masywie Speke, gdzie alpiniści nasi podjęli próbę pierwszego wejścia wsch. ścianą na szczyt Victor Emanuel

(4914 m), przerwaną u stóp ściany szczytowej, na wys. 4500 m, wskutek gwałtownej śnieżycy; nazajutrz T. Pawłowski dokonał samotnie 6. wejścia na *Victor Emanuel* nową drogą od północy. Przeniósłszy się następnie w masyw Stanley, alpiniści dokonali pięknego wejścia na najwyższy szczyt Ruwenzori, *Marguerite* (5119 m), jego wspaniałą, dziewiczą *pn.-wsch. granią*. Wejście to (7. wejście na Marguerite) połączone ze znacznymi trudnościami technicznymi, odbyło się w dn. 12—13 lutego (biwak na wys. ok. 4870 m). Schodzono ze szczytu granią przez szczyt *Albert* (5088 m), co było trzecim nań wejściem, a następnie jego pn.-zach. granią do wys. 4700 m, skąd strawersowano ku wsch. biwakując po raz wtóry na wys. ok. 4400 m, by 14 lutego powrócić do obozu wyjściowego pod Przełęczą Stuhlmanna, a w dzień później do bazy głównej nad Jeziorem Bujuku. Wreszcie wymienić należy osobno wejścia na dziewicze szczyty, wznoszące się ponad Doliną Nyamgasani: *Okusoma* (ok. 4600 m) oraz na *dwa szczyty bez nazwy:* ok. 4550 m i ok. 4540 m; nazwy dla tych szczytów zostaną przez wyprawę nadane w porozumieniu z miarodajnymi czynnikami angielskimi.

Wyprawa polska zwiedziła w czasie swego pobytu w górach walne doliny Bujuku, Mugusu i Mobuku, górne piętra dolin Butahu i Nyamgasani. Alpiniści wyprawy przekraczali wszystkie przełęcze między poszczególnymi sześcioma gniazdami górskimi Ruwenzari, m. in. dokonując 2. i 3. przejścia mało znanej przełęczy (ok. 4500 m) pod szczytem Weisman (4663 m) w masywie Savoie; dla przełęczy tej wyprawa zamierza zaproponować nazwę Humphreys Pass, dla upamiętnienia jej zdobywcy i jednocześnie najbardziej wytrwałego eksploratora Ruwenzori (p. „Tat." XXIII, 50—51).

Prawie przez cały czas wyprawa cieszyła się w górach względnie sprzyjającą, jak na Ruwenzori, pogodą. Wprawdzie deszcze i śniegi padały prawie codzień i to nieraz kilkakrotnie, jednakże — z wyjątkiem dwóch kilkudniowych okresów trwałej niepogody — zazwyczaj nie trwały dłużej nad 1 do 3 godzin.

Reasumując wyniki alpinistyczne wyprawy, musimy uznać, że w zupełności zadawalają one te wymagania, jakie możemy stawiać dzisiaj poważnym przedsięwzięciom alpinistycznym, obierającym za cel łańcuch tak stosunkowo już poznany, jak Ruwenzori. Ruchliwość i zdobycze polskiej wyprawy zasługują na szczególne podkreślenie, jeśli się je zestawi z działalnością zeszłorocznej niemieckiej wyprawy E. Eisenmanna (p. „Tat." l. c.), złożonej z 5 osób: 3 alpinistów i 2 kartografów, którzy wszyscy dokonywali wejść szczytowych — i w czasie 6 tygodni pobytu w górach odbyli 6 wejść szczytowych na śnieżne wierzchołki Ruwenzori, ograniczając swą działalność do Dol. Bujuku i górnych pięter Mobuku i Butahu.

Po opuszczeniu Ruwenzori wyprawa udała się do miejscowości Mutolere na pd.-zach. krańcu Ugandy, u stóp malowniczej grupy wulkanów Mufumbiro. Tam przeprowadzono szereg prac naukowych po angielskiej i belgijskiej stronie masywu, zaś alpiniści dokonali 2 wejść: na wygasły wulkan *Muhavura*, 4112 m (obaj, 18 marca) i czynny wulkan *Nyamlagira*, 3052 m (dr B. sam, 24—25 marca) na terenie parku narodowego Alberta w belgijskim Kongo. 11 kwietnia ekspedycja wsiadła na okręt w Mombassa, a w pierwszych dniach maja przybyła do Polski.

**Z mniejszych wypraw afrykańskich.** W Etiopii żołnierze z 575 batalionu zdobyli w lecie 1938 r. *Monte Condudo* (3200 m) w masywie Garamullata (na pn.-wsch. od Harraru). — Kilku członków Sekcji Marokańskiej CAF. weszło w marcu 1938 r. na *Dżebel Tubkal* (4165 m); jest to już ok. dwudzieste wejście na najwyższe wzniesienie systemu Atlasów. Zwiedzono również pustynny *Dżebel Sirua* (3305 m). — Marokańscy Francuzi Blondel, Carre, Fourcade, Hofgaard i Robert pokonali w kwietniu ub. r. jako pierwsi *pn.-wsch. ścianę Uenkrimu Północnego* (3990 m), drogą podobno technicznie trudną; jest to już trzecia droga na ten szczyt z Doliny Ait Mizan (por. „Tat." XIX, 142 i XXII, 44). — Na pograniczu Gwinei francuskiej i Liberii weszli profesorowie Chouard i Robequain na tropikalną górę *Nimba*, którą francuscy urzędnicy kolonialni zwiedzili już zresztą w 1929 r.

**Nowy szczyt pięciotysięczny w Afryce.** Oczywiście, szczyt już dawno znany, a tylko przez nowe pomiary zaliczony do pięciotysięcznych. Chodzi tu mianowicie o masyw *Ras Daszan* w Etiopii (por. „Tat." XXI, 99), którego najwyższy szczyt według nowych pomiarów liczy 5050 m. W ten sposób nie Mont Blanc (4807 m) — jak uważano dawniej licząc góry etiopskie na 4300—4700 m — lecz *Ras Daszan* jest najwyższym szczytem imperium włoskiego.

**Niemiecka wyprawa w Hindukusz i Elburs.** Znany alpinista niemiecki Wolfgang Gorter, wraz z zamieszkałym w Teheranie Niemcem E. Ruscherem, odbyli ub. roku interesującą wyprawę w Zachodni i Południowy Hindukusz. Przeleciawszy samolotem Lufthansy nad pustynnymi obszarami górskimi Afganistanu, wyruszyli najpierw w Zachodni Hindukusz, gdzie dokonali pierwszego wejścia na najwyższy szczyt łańcucha Koh-i-Baba, *Amu Kalan* (5100 m) jego wsch. granią. Do wysokości 5000 m towarzyszył im mongolski „Trägerkamerad" (jak Niemcy piszą po dżentelmeńsku), Ami

M o m a d. Przerzuciwszy się następnie w Południowy Hindukusz, zwiedzili obaj alpiniści (w grupie Pagman) osiem szczytów czterotysięcznych i jeden pięciotysięczny.

Powróciwszy samolotem z Kabulu do Teheranu, G o r t e r zorganizował nową wyprawę, mianowicie na najwyższy szczyt łańcucha Euburs i całego Iranu — *Demavend (5670 m)*, dokonując wraz z zamieszkałymi stale w Teheranie K. D a n z i g e r e m, K. G ü n s t l e r e m i H. W a g n e r e m, w pięciodniowej wspinaczce, 2. przejścia wielkiej i słynnej z trudności pn. ściany Demavendu, którą w 1935 r. zdobył wraz z L. S t e i n a u r e m.

**Alpinizm irański.** Po alpinizmie japońskim i koreańskim, mamy do zanotowania pojawienie się nowego „egzotycznego" alpinizmu w Iranie, gdzie p. Karsalan K h a l' A t b a r i zorganizował grupę turystów wysokogórskich i zwiedził Demavend (5670 m).

**Eksploracja gór Kurdystanu.** Pod tym tytułem podałem już w „Tat." XXII, 44 notatkę o uwieńczonej dużym powodzeniem wyprawie niemieckiej pod wodzą dra Hansa B o b e k a w tzw. Góry Centralno-Kurdyjskie („Kurdyjski Taurus") w pd.-wsch. Turcji, na pd. od jeziora Wan. Ponieważ jednak notatka moja, oparta na pierwszych wiadomościach z alpinistycznych wydawnictw zagranicznych, nie była jeszcze ścisła w pewnych szczegółach, podaję jej najważniejsze uzupełnienia.

Do r. 1937 pod względem wysokogórskim całkowicie nieznane, góry Kurdyjskie ciągną się na długiej przestrzeni wzdłuż granic Turcji i Iranu aż ku Irakowi, ale nie przedstawiają na ogół wartości dla alpinisty. Wyjątkiem są tylko sąsiadujące ze sobą. po 25 km długie wapienne łańcuchy Cilo Dagh i Sat Dagh (w prowincji Hakari), które charakterem swoim przypominają Alpy Wschodnie, mają znacznych rozmiarów lodowce, a wysokością przenoszą 4000 m. Klimat ich jest latem subtropikalny i suchy, zimą (od października do kwietnia) padają tu śniegi. Dawniej zamieszkałe przez mahometańskich Kurdów i chrześcijańskich Nestorian, obecne — po wytępieniu tych ludów przez Turków i wysiedleniu ich resztek — są bezludne.

Ku górom tym przybyła we wrześniu 1937 r. wyprawa dra B o b e k a (uczestnicy: H. K u n t s c h e r, H. P a c h e r, S. R o h r e r i F. R u t t n e r), która nie ulękła się trudności politycznych i interwencją bezpośrednią w Ankarze uzyskała pozwolenie na pobyt w górach (chociaż dodano jej dwóch policjantów „dla zapewnienia osobistego bezpieczeństwa", a nawet na początek dodatkowego urzędnika policyjnego); Niemcy mieli zatem więcej szczęścia i odwagi niż organizatorzy dwukrotnie niedoszłej do skutku „polskiej wyprawy w Taurus". Najpierw skierowali się ku łańcuchowi Cilo Dagh, gdzie zdobyli 18 szczytów, w tym główny wierzchołek *Suppa Durek* 4060 m (K u n t s c h e r, P a c h e r i R o h r e r, 12.IX), *Kisara* 3670 m (ci sami, 15.IX), *środkowy wierzchołek Suppa Durek* 3770 m (ci sami, 18.IX) i *Geliasin* 4170 m (wszyscy członkowie wyprawy, 21.IX). Potem zwiedzili łańcuch Sat Dagh wchodząc na 23 szczyty, w tym na *Ser e Maidan e Szedri* 3530 m (B o b e k i R o h r e r, 27.IX), *Ser e Sem e Sati* 3700 m (K u n t s c h e r, P a c h e r i R u t t n e r, 28.IX) i dwa wierzchołki *Cia e Hendevade* 3810 i 3800 m (ci sami i dr B o b e k, 30.IX). Trudności wejść, podejmowanych stale najłatwiejszymi drogami, wahały się pomiędzy łatwymi a bardzo trudnymi wspinaczkami, co dobrze charakteryzuje alpinistyczne wartości tych gór.

Poza działalnością odkrywczą uczestnicy wyprawy dra B o b e k a wykonali pewną ilość prac naukowych, w tym pięć map poznanego terenu. Bliższe szczegóły i opisy swej wyprawy podali w ciągu 1938 r. w szeregu czasopism alpinistycznych i geograficznych, jak „Mitteilungen des Deutschen Alpenvereins", „Der Bergsteiger", „Jahresbericht des Akad. Alpen Klub Innsbruck", „Die Alpen", „Österreichische Alpenzeitung", „Petermanns Mitteilungen". *(jaszcz).*

**Eksploracja Taurusu.** Późnym latem 1938 r. działała w masywie Ała Dagh cylicyjskich gór Taurus (p. „Tat". XIX, 195) siedmioosobowa badawcza wyprawa niemiecka zorganizowana i sfinansowana przez Oddział Celowiecki (Klagenfurt) Deutscher Alpenverein'u, zestawiona podobnie jak polska wyprawa w Kaukaz w 1935 r. z dwóch samodzielnych grup: naukowej (Heinz E l l e n b e r g, botanik i dr Karl H e r t z, geolog) i alpinistycznej (Hermann H e i d e, kierownik grupy, Walter P l e u n i g g, Josef P u c h e r i Siegfried T r i t t h a r t), pod wodzą geografa dra Hansa S p r e i t z e r a. Ponad to czynniki tureckie przydzieliły do wyprawy dwóch młodych geografów, Ferruh S a n i r a i Hairi G ü n d e n a. Wyprawa działała w terenie między 17 lipca a 24 września w korzystnych na ogół warunkach pogodowych i z dużym szczęściem, realizując wszystkie wyznaczone sobie cele, tak naukowe (zwłaszcza „rewelacyjne" mogą być wyniki badań geologicznych i zbiory roślin) jak alpinistyczne. Grupa alpinistyczna dokonała ogółem trzydziestu pierwszych wejść, w znacznej części połączonych z bardzo wielkimi trudnościami technicznymi. Wyróżniły się wśród tych wejść: pokonanie *pn. filara* głównego szczytu Taurusu, *Demir Kasyk* (3910 m), przejście *pn. ściany Bors Dagh* (3860 m) oraz zdobycie szczytów w otoczeniu doliny Jedigöl (Siedmiu Stawów), gdzie trzy z nich, nie nazwane, ochrzcili Niemcy nazwami: *Klagenfurt Turm, Paschingerberg* i *Künnegipfel*. *(jaszcz).*

**Sezon letni 1938 r. w Alpach Zachodnich.**

Sukcesy na północnych ścianach Eigeru i Grandes Jorasses (p. „Tat." XXIII, 33—38) przyćmiły swą wspaniałością wszystko to, czego w lecie ub. r. w skałach i lodach Alp Zachodnich dokonano. Cała ta „reszta" jest jednak tak bogata pod względem ilości i stylu, że dla całości obrazu minionego sezonu alpejskiego konieczne się staje omówienie jej w ramach naszych corocznych sprawozdań. Ustalonym tedy zwyczajem podamy poniżej zestawienie najwybitniejszych zdobyczy i powtórzeń na terenie poszczególnych części Alp Zachodnich.

**1. W Alpach Delfinackich** największy rozgłos zdobyło sobie pierwsze przejście 550-metrowej, krzesanej, do największych problemów alpinistycznych Delfinatu zaliczanej *pn. ściany Rateau* (3754 m). Wspaniałe to, choć na alpejskie stosunki niezbyt wysokie urwisko zaatakowali po raz pierwszy dwaj znani wspinacze francuscy, M. Fourastier i A. Madier), pokonując w dniach 29, 30 i 31 lipca 1938 r. z górą 400 m ściany. O 130 m od wierzchołka zdecydowali się jednak na odwrót, gdyż trzy haki, jakie im pozostały na pokonanie rosnących wraz z wysokością trudności, nie rokowały powodzenia w ew. ataku na gładkie zerwy szczytowe. 14 sierpnia ponownie podeszli pod ścianę, lecz tym razem niepogoda uniemożliwiła wszelką próbę ataku. 18 sierpnia po raz trzeci stanęli pod urwiskiem i teraz spotkało ich już pełne powodzenie: nazajutrz, po biwaku w ścianie, o godz 17 osiągnęli grań szczytową — zaledwie o 10 m na zach. od wierzchołka. Wyruszywszy 18 sierpnia o godz. 1 ze schroniska de la Selle, przez Col de Lauze i wyżnie siodło Col des Ruillans wydostali się na najwyższą równię lodowca Rateau. Wejście w ścianę nastąpiła mn. w. w linii spadku wierzchołka, u najniższego punktu słabo wyodrębniającego się żebra. Największe trudności napotkano w najwyższej części ściany; określono je jako skrajne. Cała droga była w przeważającej części skalna, choć posiadała parę trudniejszych fragmentów lodowych. O nagromadzeniu trudności świadczyć może fakt, że na pokonanie 550 m wzniesienia zużyto (efektywnie) prawie 20 godz., 8½ godz. trwało pokonywanie końcowych 130 m ściany.

Poza tym dokonano w Delfinacie szeregu innych, ciekawych i wysokowartościowych wejść, jak np. *pn. ścianą Pic Maître* (Grande Ruine, 3765 m), którą w 13 i półgodzinnej, nadzwyczaj trudnej wspinaczce pokonali P. Boniface, A. Colomb i F. Germain — dalej pierwsze wejścia *pn.-wsch. granią Ailefroide Orientale* (L. Arnoux i G. Vernet, 4.VIII), *pd-wsch. żebrem Bans* (3669 m; J. Chenais, R. Picard, P. Schermann i J. Vernet, 29. VII) i *pn.-wsch. żebrem Pic des Bruyères* (3335 m; P. Schermann i J. Vernet, 14.VII), pierwsze całkowite przejście długiej *wsch. grani Pic Coolidge* (3756 m; ci sami, 17.VII) i w. in. — z powtórzeń zaś takie, jak 3. wejście „diretissimą" na *pd. ścianie Aiguille Dibona* (p. „Tat. XXII, 45) i 5. wejście *pd. ścianą Meije Orientale* (3911 m), dokonane przez J. Bertheta i M. Ravanata, 4. wejście *pn. filarem Bans* (panna Jacquemet, P. Boniface i A. Colomb, 10. VIII), 8. przejście sławnej *grani „Coste Rouge" na Ailefroide* (L. Arnoux i O. Schaller, 22.VII), 2. całkowite przejście *grani Ailefroide* (a pierwsze w kierunku zach.-wsch.; panna B. Fiévet i R. Mallieux, 3.VIII). Wreszcie do pięknych wyczynów samotnego alpinizmu należy zaliczyć dwukrotne przejście *Col des Avalanches*, które zapisał na listę swych zdobyczy A. Madier (22.VI ze wsch. na zach., a 30.VI z zach. na wsch). Mimo ożywionego ruchu alpinistycznego w Delfinacie, „odłogiem" stały ub. lata największe urwiska La Meije, tak popularne w latach ubiegłych.

**2. Łańcuch Mont Blanc** — najwynioślejszy w Alpach zespół form wysokogórskich — był w r. 1938, jak zawsze, przedmiotem największego zainteresowania i celem największej bodaj ilości poważnych zamierzeń sportowych. O ile przy tym ruch alpinistyczny w Alpach Delfinackich ma z reguły charakter prawie wyłącznie francuski, o tyle otoczenie najwyższego szczytu Europy jest terenem niejako współzawodnictwa elity alpinistycznej całej Europy — zwłaszcza alpinistów francuskich i włoskich. Godnym uwagi jest również udział Niemców, Szwajcarów, niekiedy Anglików, a ostatnimi laty i Polaków, w alpinistycznej penetracji tego łańcucha.

Zdobycie *pn. filara Pointe Walker* w Grandes Jorasses stało się naturalnie gwoździem sezonu. Omówiliśmy je już w poprzednim zeszycie „Tat." Jeśli chodzi o inne nowe drogi zdobyte w grupie Mont Blanc, to wymienić należy przede wszystkim niezwykle trudne *1. wejście od wsch.* (połączone z 1. trawersowaniem przełęczy) *na Col du Fou* (3365 m), dokonane przez Ch. Authenaca z Fernandem Tournier w lipcu ub. r. oraz 1. wejście *od pn.-zach. na Courtes* (3856 m), które 31.VII wywalczyli w 15½-godzinnej ciężkiej pracy w lodzie i skale dwaj genewczycy, Ch. Cornaz i M. Mathey. Poza tym wymienimy jeszcze kilka mniej już wybitnych, ale przecież nader wartościowych pierwszych wejść, jak chociażby na *Aiguille de Grépon (3482 m) przez Aig. du Roc* (G. Gervasutti i tow.), na *Pointe Gugliermina* (3891 m) w Grani Peuterey *wprost z Lodowca Fréney* (G. Boccalatte i Gervasutti, w sierpniu), lub zach. granią *Petites Jorasses* (3649 m; G. Boccalatte, A. Sarfatti i M. Piolti, 26.VII).

Najsilniejszy ruch panował jednak na wielkich, zdobytych już dawniej lecz teren ciężkich egzaminów alpinistycznych stanowiących drogach lodowych, lodowo-skalnych i na koniec czysto skalnych. Celem największej ilości ataków były w pierwszym rzędzie wielkie urwiska i granie Mont Blanc (4807 m). Wspaniały szlak *wsch. ścianą przez „Sentinelle Rouge"* był w modzie: aż pięć partii przebyło ub. lata tę sławną drogę: P. Aschenbrenner, W. Mariner, Th. Plattner i K. Deutelmoser w dn. 20. VII (zejście *pd.-wsch. granią Mont Maudit)*, Loulou Boulaz i P. Bonnant już nazajutrz, H. Lohenhofer, M. Burghartswieser, F. Punz i V. Surrer w dn. 28.VII (znajdując wariant polegający na przejściu od „Sentinelle Rouge" l. brzegu Wielkiego Żlebu aż do połączenia się, poniżej seraków szczytowej kopuły, z drogą E. Allegry), dalej L. Devies i J. Lagarde, którzy tego samego dnia przebyli zwykły szlak — i wreszcie alpiniści polscy: J. Golcz, Z. Korosadowicz i J. W. Żuławski, którzy przeszli drogę w dn. 24—25.VIII (biwak pod szczytowymi serakami). Było to nb. 16. lub 17. przejście tej drogi. Droga *„Sentinelle Rouge de gauche"* zdobyła sobie również dwa przejścia (6. wejście: R. Aubert i R. Dittert, 25.VII; 7. wejście: Miss U. Cameron z przew. E. Bareux'em i E. Croux'em, 2—3 VIII), za to fantastycznie niebezpieczny szlak przez „Poire" nie doczekał się trzeciego przejścia. *Grań Innominaty* (na Mont Blanc) przebyto raz (14. wejście: G. Boccalatte, U. di Vallepiana i przew. L. Grivel, 3.VIII), natomiast aż cztery razy przebyto *pd. grań Aiguille Noire de Peuterey*, sławną ze skalnych trudności. 14. przejścia dokonali tu w dn. 21—22.VII Lobenhofer i tow., którzy w tydzień później zwiedzili najklasyczniejszą z lodowych dróg masywu — „Sentinelle Rouge" (p. wyżej), 15. wejście było dziełem Niemców: P. Aschenbrennera, W. Marinera i Th. Plattnera, którzy 26. VII przeszli grań w rekordowym czasie 13 godzin; niestety, sukces został zamącony tragicznym wypadkiem: ich czwarty towarzysz, Karl Deutelmoser zginął w lawinie kamiennej podczas wejścia na piątą turnię grani. 16. i 17. przejście grani znów odbyły się z biwakami — i tak K. Schreiner i tow. pokonali grań w dn. 28 i 29.VII, a Włosi: Cristofaro, Frattini, Molinetto i Pinardi potrzebowali aż trzech bez mała dni (9, 10 i 11 VIII) na przejście całej drogi.

P. Aschenbrenner, W. Mariner i Th. Plattner powtórzyli poza tym w dn. 18.VIII drogę Chaboda i Gervasuttiego z r. 1934 *pn.-wsch. żlebem Mont Blanc du Tacul*, Gervasutti i bracia Bottinelli dokonali (drugiego również) wejścia wprost *wsch. ścianą Aiguille de la Brenva*, a Allain i J. Leininger — 2. wejścia *zach. ścianą Aiguille des Leschaux* (22.VII). Poza tym E. Frendo dokonał 18.VII (z wielu tow.) przepięknego wejścia skalnego na *Aiguille du Roc od wsch. strony Aig. du Grépon*, a Faure, Frendo i Grière odbyli 26.VIII drugie całkowite przejście tzw. *„arête de la Republique"* na *Grands Charmoz* — itd., itd. Na osobną wzmiankę zasługują wejścia na urwistą *Auguille Mummery* (3700 m), dokonane w dn. 4.VIII przez partie wyłącznie kobiece (A. Damesme, M. Morin, J. A. Morin i inne).

Pisząc o grupie Mont Blanc, która dla naszego alpinizmu będzie miała chyba zawsze znaczenie głównie jako teren zaprawy lodowej w wielkim stylu, trudno jednak pomijać osiągane w niej przez alpinistów zachodnio-europejskich sukcesy czysto skalne. Fascynujące piękno skalnych form słynnych Aiguilles des Chamonix, czy nawet zuchwałych grani skalnych samego masywu Mont Blanc, przyciągać musi zawsze uwagę alpinistów.

**3. Alpy Walijskie.** Od ostatnich wielkich zwycięstw na pn. i wsch. ścianie Matterhornu przyszedł dla Alp Walijskich okres spokojny, już od lat kilku nie przynoszący wielkich sensacji alpinistycznych. Nie znaczy to jednak, aby każdego prawie roku nie zapisano w bliższym lub dalszym otoczeniu Russkinowskiego „Ideału szczytu górskiego" jakiegoś sukcesu, wyrastającego ponad przeciętność. W lecie 1938 r. takim przodującym w tej części Alp wyczynem było niezawodnie 1. wejście 800-metrową, lodową *pn. ścianą Montblanc de Cheilon*. W. Gorter i L. Steinauer, w ostatnich latach stali bywalcy tych stron (p. „Tat." XXII, 77) pokonali ścianę w dn. 28—29.VIII biwakując zaledwie o 70 m od wierzchołka wskutek śnieżycy, jaka ich zaskoczyła w górnych partiach ściany. Poza tym wybitniejszą zdobycz uzyskali Szwajcarzy: E. R. Blanchet i przewodnicy Oscar i K. Supersaxo, którzy 1.VIII dokonali 1. przejścia *pn.-wsch. ściany Alphübel (4206 m)*.

**4. Alpy Berneńskie** przez pół sezonu rozbrzmiewały sławą pierwszego przejścią *pn. ściany Eigeru*. Ale nawet to zwycięstwo alpinistyczne nie zdołało zaćmić bezspornej znakomitości innego pierwszego wejścia, jakie stało się pod koniec sezonu drugim z kolei pod względem wielkości zwycięstwem alpinizmu niemieckiego w lecie 1938 r.: w dn. 19 i 20 września „pada" inne wielkie urwisko Oberlandu — przeszło 1200-metrowa *zach. ściana Möncha* (4099 m). Triumfują nad tym urwiskiem H. Hintermeier i T. Sporrer. Przejście ściany trwa 35 godz., z czego 23 godz. efektywnej wspinaczki. Zach. ściana Möncha była jedną z ostatnich — jeśli nie ostatnią — z wielkich dziewiczych Alp Berneńskich.

*Z. D.*

**Sprostowania.** W „Tat." XXII, 44, 77 donosiliśmy o 1. przejściu *pd. ściany Grand Combin,* dokonanym przez J. Bogada i L. Steinauera dn. 5.IX.1937 r. Okazuje się jednak, że było to nie pierwsze, lecz *drugie* przejście tej ściany, zdobytej w rzeczywistości jeszcze dn. 9.VIII.1905 r. przez H. Ledeboera z przewodnikami Maurice i Louis Fellayami. — Podobnie *wejście zimowe na Cime de l'Est* w masywie *Dents du Midi,* dokonane dn. 20.III.1938 r. (p. „Tat." XXII, 167) było drugim wejściem zimowym, ponieważ pierwszymi zimowymi zdobywcami Cime de l'Est byli członkowie sekcji Diablerets CAS, którzy odbyli tę wyprawę w marcu 1929 r.
*(Informacje Marcel Kurza w „Alpinisme" z września 1938 r., s. 256).*

**Polska kronika alpinistyczna 1938 r.** Pragnąc choć w grubszych zarysach obrazować corocznie udział Polaków w ruchu alpinistycznym poza terenami egzotycznymi, podajemy poniżej kronikę wejść, o których Redakcja „Taternika" została poinformowana. Oczywiście, wszelkie polskie wyprawy odkrywcze i badawcze w góry egzotyku, omawiane zwykle obszerniej i na innym miejscu, znajdą się poza niniejszą kroniką, którą zamierzamy w latach następnych kontynuować.

**Dolomity.** W drugiej połowie lipca M. Babiński i T. Pawłowski odbyli w Dolomitach kilka wejść w różnym stopniu trudności — zresztą poza najtrudniejszymi, „modernistycznymi" drogami „szóstego stopnia", do czego dla taterników, nie obznajmionych z dolomitem i z nowoczesną techniką dolomitową, potrzebny byłby dłuższy trening w tym typie skały. Wypad ten godny jest uwagi jako pierwsze w powojennych latach zetknięcie się naszych taterników z Dolomitami, tak stosunkowo często odwiedzanymi przed wojną przez polskich wspinaczy. Wymienieni wspinacze dokonali tu następujących wejść: 14.VII od zach. na Cinque Torri (*Tora Grande,* 2362 m), 16.VII *pd. ścianą Sasso di Ibria,* 20.VII *od zach. na Croda da Lago* (2716 m; *Punta Ada),* 21.VII zwykłą drogą na *Becco do Mezzodi,* 25.VII zwykłą drogą na *Cima Grande di Lavaredo* (3003 m), a 26.VII *zach. ścianą Cima Piccola di Lavaredo* (2881 m).

**Alpy Salzburskie.** Z. Kuleszyna - Radwańska i M. Zajączkowski weszli 13.VII zwykłą drogą na najwyższy szczyt tej grupy, Hochkönig (2998 m).

**Wysokie Taury.** Od 1936 r., kiedy to w Wysokich Taurach przebywał obóz treningowy Klubu Wysokogórskiego PTT, mamy znów do zanotowania w tym łańcuchu parę wejść, których w dn. 17 i 18.VII dokonali Z. Radwańska - Kuleszyna i M. Zajączkowski: wejście na *Grossglockner* zw. drogą z Lodowca Pasterze (przez Hofmannskees) i ścisłe przejście długiej i częściowo b. trudnej grani *Freiwendeck* (ok. 2300 m) — *Freiwandkopf* (2855 m) — *Freiwandspitze* (3035 m) — *Fuscherkarkopf* (3336 m). (P. „Tat." XXIII, 47—48).

**Alpy Berneńskie.** W drodze do grupy Mont Blanc W. Gosławski i J. W. Żuławski zatrzymali się 4 dni w Oberlandzie, w którym 24.VII weszli zw. drogą na *Pfaffenstöckli* (3184 m), 25.VII odbyli wejście na najwyższy szczyt Oberlandu, *Finsteraarhorn* (4275 m) długą i piękną, lodowo-skalną *pn. granią,* od Agasitzjoch (wejście na nią od wsch. wprost lodową depresją) ; zejście nastąpiło zw. drogą do schroniska Finsteraarhütte na Waliser-Fischer-Firn. 26.VII wreszcie przetrawersowano jeszcze *Agasitzjoch* (3850 m) z zach. na wsch.

**Łańcuch Mont Blanc** był ub. roku, jak wiadomo (p. „Tat." XXII, 170, 176; XXIII, 21), celem wysłanej przez Klub Wysokogórski PTT grupy treningowej. Uczestnicy obozu alpejskiego dokonali tu następujących wejść: 5.VIII L. Januszewicz, W. Gosławski, Z. Korosadowicz, T. Pawłowski i J. W. Żuławski w tow. Francuzki, panny Perollaz — zwykłą drogą *(zach. granią)* na *Aiguille du Plan* (3673 m) (przejście typu lodowcowego, potem śnieżna grań i dość trudny, skalny uskok szczytowy; 7.VIII ci sami, ale już bez francuskiej towarzyszki — na *Aiguille du Midi* (3842 m) *wsch. granią* (łatwa, śnieżna grań i dość trudny fragment skalny wierzchołka); 18.VIII ci sami, ale już również i bez Żuławskiego — *trawersowanie graniami* od pn.-zach. na pd.-wsch. *Tour Ronde* (3792 m) (przejście średnio trudne); 24—25.VIII J. Golcz, Z. Korosadowicz i J. W. Żuławski przechodzą klasyczną wielką drogę lodową, *wsch. ścianę Mont Blanc* szlakiem przez *„Sentinelle Rouge"* (p. „Tat." XXIII, 20, 57—65); z Mont Blanc schodzą „drogą włoską" na Lod. del Dômo. Poza tym tym W. Gosławski i T. Pawłowski dokonali 24.VIII zaawansowanej próby przejścia wspaniałej wsch. grani Grandes Jorasses (4205 m) od Col des Hirondelles (3456 m), załamanej wskutek wielkiego olodzenia skał, zaś wszyscy uczestnicy obozu przechodzili kilkakrotnie (w obie strony) *Col de la Fourche* (3682 m) i szereg innych, łatwych przełęczy oraz przebyli wielokrotnie kilkanaście lodowców.

**W górach Korsyki** spędzili 3 tygodnie Zofia Bernadzikiewiczowa i dr T. Bernadzikiewicz, dokonując tam szeregu wejść: w końcu lipca na kilka samodzielnych i zapewne dziewiczych turni na zach. i pd.-zach. od Capo alla Cuculla w masywie Capo Tafonato oraz na łatwy *Capo alla Cuculla* (2052 m), zaś w pierwszej po-

łowie sierpnia — w otoczeniu dzikich dolin Troncello, Spasimata i Carozzo — na *La Mufrella* (2148 m), *Punta Gialba* (2101 m), *Capo Ladroncello* (2144 m) *granią od Col d'Avartoli* (1900 m) (zapewne 1. przejście tej grani) oraz na *Monte Corona* (2143 m); 9.VIII przeszli przez *La Mufrella* do słynnego „cyrku" skalnego Trinbolaccia u stóp najwyższego szczytu Korsyki, Monte Cinto (2710 m) i Punta Minuta (2547 m), skąd dokonali najpiękniejszych wejść: 10.VIII na *Capo Rosso di Trinbolaccia (2475 ? m)* b. trudną *pn.-zach. ścianą* (prawdopodobnie 1. wejście tą ścianą; *zejście ścianą pn.-wsch.),* zaś 13.VIII dziewiczą, częściowo nadzwyczaj trudną *pn.-zach. ścianą Monte Cinto* (2710 m). 15.VIII nastąpiła odparta trudnościami technicznymi próba 1. wejścia urwistą wsch. ścianą Punta Stranciacone (2150 m) oraz zlikwidowana niepogodą — nb. jedyną w czasie pobytu naszych wspinaczy na Korsyce — próba wejścia na ten szczyt zwykłą drogą od przełęczy między nim a Punta Missiodo. 16.VIII, w drodze powrotnej do Dol. Spasimata, dokonano znów przejścia przez *La Mufrella* [1]).

# NOTATKI

**Na tatrzańskiej granicy.** Zapowiadając w poprzednim zeszycie (s. 53) ogłoszenie na tym miejscu notatek, w których zamierzaliśmy zilustrować sytuację turystyczno-ochroniarską w Tatrach, nie spodziewaliśmy się, że jeszcze dzień dzisiejszy nie przyniesie wyjaśnienia w dziedzinie spraw obchodzących żywo każdego miłośnika Tatr.

Marzec 1939 r. wyłonił z kalejdoskopu dramatycznych wydarzeń międzynarodowych radykalną zmianę po drugiej stronie Tatr: Republika Czesko-Słowacka przestała istnieć a za tatrzańską granicą pojawiło się nowe państwo: Słowacja. Istniejąca od 30 maja 1925 roku konwencja turystyczna polsko-czeskosłowacka straciła swą moc prawną i do tatrzańskich pamiątek musieliśmy schować niebieskie legitymacje, które nam przez tyle lat otwierały wrota na południe. Tatry południowe w ciągu jednej nocy stały się dla nas niedostępne. Czy na długo?... Mamy nadzieję, że po unormowaniu się stosunków znów będziemy mogli chadzać bez przeszkód na południową stronę Tatr — jak dawniej, jak przez tyle lat. I chociaż wielu z naszych dawnych przyjaciół górskich, niestety, już tam nie zastaniemy, to przecież chcemy wierzyć, że nic nie stanie na przeszkodzie ku kontynuowaniu tradycyjnej już przyjaźni i wspólnoty taternickiej, która przez tyle lat łączyła nas z naszymi sąsiadami zza tatrzańskiej granicy.

Po naszej stronie Tatr można się było spodziewać skonkretyzowania wielu spraw, a tymczasem większość z nich jeszcze „wisi w powietrzu". Sprawa Tatrzańskiego Parku Narodowego względnie Parku Przyrody nie została jeszcze załatwiona. Innym sprawom z dziedziny ochrony przyrody i gospodarki tatrzańskiej też nie nadano jeszcze konkretnych form. Dawne Dobra Jaworzyńskie przeszły po listopadowej zmianie tatrzańskiej granicy pod zarząd Lasów Państwowych, które utrzymują przejęte obszary w stanie obowiązującej dawniej ochrony przyrody i krajobrazu. Żadnych inwestycyj na tym terenie dotychczas się nie wykonuje, żadnych schronisk w istniejących tam budowlach nie uruchomiono. Jedynie w budynku dawnej czesko-słowackiej placówki celnej za mostem koło Łysej Polany LPT otworzyła „Gospodę pod Towarzyszem Pancernym".

Pozytywnym rezultatem akcji zmierzającej do uchronienia krajobrazu tatrzańskiego przed zniszczeniem stał się kompromis przy budowie wyciągu saniowego dla narciarzy z kotła Kasprowego na Kasprowy Wierch. Wyciąg ma charakter prowizoryczny: sanie i liny będą z końcem sezonu zimowego wyciągane do budynku stacyjnego na Kasprowym, dzięki czemu kocioł został uchroniony od trwałego oszpecenia.

Niestety, inne fakty trzeba traktować z mniejszym optymizmem. I tak komfortowy „hotel turystyczny", który zbudowało na Kalatówkach Tatrzańskie Tow. Narciarzy, jest budowlą o uderzającej i do głębi oburzającej brzydocie, którą „usprawiedliwić" można chyba tylko jakąś niepojętą ślepotą tych, którzy dopuścili do zbudowania w Tatrach czegoś aż tak obcego dla krajobrazu tatrzańskiego i niedopasowanego do otoczenia. Z innych faktów wymienimy przeprowadzenie przez PZN ścieżki od obserwatorium na Kasprowym Wierchu do stacji kolei linowej na Myślenickiej Turni. Ścieżka — 1,80 m szeroka, wysypana żwirem i piaseczkiem i nadająca się do parku miejskiego — w niejednym miejscu została głęboko wcięta w zbocza, a wycięcie szerokiego pasa kosówki dopełniło zniszczenia krajobrazu. Ścieżkę przeprowadzono przez tereny stanowiące współwłasność górali i PTT, nie pytając ich zresztą o zgodę na tę inwestycję.

Oby te niepożądane stosunki wróciły do normy jak najrychlej i z jak największym poszanowaniem odwiecznego, ponad doraźne korzyści cenniejszego, pierwotnego piękna Tatr!

*Z. D.*

[1]) O dawniejszych polskich wejściach na Korsyce p. w XVI r. „Wierchów" na s. 208 209.

**Tatrzańskie Tow. Narciarzy** w Krakowie, jedna z najstarszych w Polsce organizacyj narciarskich, obchodziło w dn. 22 kwietnia (w Krakowie) i 23 kwietnia (w Zakopanem) jubileusz 30-lecia swego istnienia.

**Katastrofa lotnicza na Łomnicy.** 22 listopada ub. r. zdarzyła się kolo Łomnickiego Ramienia nienotowana jeszcze w Tatrach katastrofa lotnicza: trzymotorowy samolot z pięcioosobową załogą zderzył się ze skałami pd. grani Łomnicy i spadł do żlebu koło Łomnickiej Próby. Z czterech ocalałych członków załogi dwóch odniosło lżejsze, a dwóch ciężkie rany, piąty poniósł śmierć na miejscu.

**Próby zestrzeliwania lawin w Tatrach** (o których projekcie pisał w „Tat." XXII, 122—4 inż. A. Karpiński) przeprowadzone zostały 12 marca br. w okolicy Hali Pysznej przez karpacką komisję śniegową i referat ratownictwa górskiego Towarzystwa Krzewienia Narciarstwa, nie przynosząc podobno oczekiwanych rezultatów.

**Film z francuskiej wyprawy 1936 r. w Karakoram** demonstrowany był na pokazie, jaki 7 lutego br. odbył się w Warszawie (w kinie „Roma") staraniem Polskiego Zw. Narciarskiego, Komitetu Alliance Française i Instytutu Francuskiego w Warszawie. Po odczycie prezesa Fédération français de ski, p. Jean Matter n. t. narciarstwa francuskiego, pokazane zostały dwa filmy narciarskie Marcel Ichaca i Raymonda Ruffin: „Jeux du monde" (ze światowych zawodów narciarskich w Chamonix w 1937 r.) i „Ski français" (film obrazujący technikę narciarską), po czym operator filmowy francuskiej wyprawy 1936 r. na Hidden Peak, p. Marcel Ichac poprzedził słowem wstępnym wyświetlenie swego pięknego filmu pt. „Karakoram", obrazującego przebieg wyprawy. Film ten spotykał się wszędzie z entuzjastycznym przyjęciem, a na Biennale 1938 r. w Wenecji otrzymał pierwszą nagrodę za reportaż.

**Nowy film o zdobyciu Matterhornu** nakręcony został przed kilku miesiącami przez jedną ze szwajcarskich wytwórni i wszedł na ekrany szwajcarskie przy towarzyszeniu krzykliwej reklamy prasowej. Należy zaznaczyć, że poza szeregiem istotnie pięknych zdjęć krajobrazu alpejskiego i interesujących alpinistycznych scen rodzajowych, film zawiera zupełną parodię zdobycia Matterhornu przez Edwarda Whympera, autor scenariusza bowiem obszedł się w sposób bezceremonialny zarówno z faktami jak i z charakterystyką osób biorących udział w akcji. Jak wiadomo, poprzedni film na ten sam temat — wyświetlany w Polsce przed kilku laty pt. „Walka o Matterhorn" — był w Anglii zabroniony jako uwłaczający pamięci wielkiego alpinisty angielskiego. Prawdopodobnie obecny film spotka się z takim samym losem, tym więcej, że już w Szwajcarii wywołał głośne i liczne protesty. W każdym razie „Alpine Journal" w n-rze z listopada 1938 r. (nr 257, s. 328—330) nie szczędzi najostrzejszych słów pod adresem twórców filmu. *W. St.*

**V Kongres Unii Międzynarodowej Towarzystw Alpinistycznych** (Union Internationale des Associations d'Alpinisme) odbywał się w ostatnich dniach sierpnia 1938 r. w Pradze. Na kongres — starannie zorganizowany przez KČST, KČSA i „JAMES" — przybyli z zagranicy następujący delegaci: prezes Unii, Egmond d'Arcis i M. Trottet ze stałego sekretariatu Unii, dr H. Meyer (Szwajcaria), dr Rogery i L. Carcassès (Francja), dr O. Sjögren (Szwecja), A. Kanellis (Grecja), Dimitri Gherasi, prezes Clubul Carpatin Roman i delegat M. Marosin z Bukaresztu (Rumunia), dr A. Brilej (Jugosławia) i Stepan Popov (Bułgaria). 29 sierpnia odbyło się otwarcie kongresu i uroczystości oficjalne, nazajutrz obradowało walne zgromadzenie Unii pod przewodnictwem E. d'Arcisa, który składał doroczne sprawozdanie z prac Unii. W roku ub. do Unii przyjęty został w charakterze nowego członka Clubul Carpatin Roman (Klub Karpacki Rumuński). Na zgromadzeniu i na właściwym kongresie, który odbył się 31 sierpnia, wygłoszono szereg referatów, m. in. E. d'Arcis mówił o ochronie przyrody alpejskiej, a inż. I. Houdek o jeziorach tatrzańskich. Po kongresie odbyły się dla jego uczestników wycieczki w różne strony Czechosłowacji, a od 31 sierpnia do 12 września była otwarta w Pradze międzynarodowa wystawa górskich fotografii, obficie obesłana głównie przez gospodarzy, a następnie towarzystwa górskie z Jugosławii i Grecji, słabiej natomiast przez Polskę (kilka fot. pp. Nowakowskiego i Drymera, wśród nich piękne zdjęcie pn. ściany Galerii Gankowej), Francję i Szwajcarię. Poza tym kolekcję zdjęć ze swych licznych wypraw egzotycznych nadesłał inż. Piero Ghiglione z Turynu.

**75-letni jubileusz Szwajcarskiego Klubu Alpejskiego.** W dniach 22 i 23 października 1938 r. Szwajcarski Klub Alpejski *(po niem.* Schweizer Alpenclub, *po franc.* Club Alpin Suisse) obchodził uroczyście jubileusz 75-lecia swego istnienia, połączony z dorocznym zjazdem delegatów odbytym ub. roku w Olten, kolebce tego największego i najstarszego w Szwajcarii, a jednego z najstarszych na świecie, towarzystwa górskiego. Założone w 1863 r. — kiedy to z inicjatywy berneńskiego chemika i geologa, Theodora Simlera 35 miłośników Alp zebrało się 19 kwietnia w Olten na konstytuującym zebraniu SAC — towarzystwo, którego pierwszym prezesem został Simler, rozwi-

nęło się rychło w szeroko rozgałęzioną, potężną organizację, dysponującą dużymi środkami finansowymi, budującą ścieżki i schroniska górskie, organizującą turystykę górską i narciarstwo, przewodnictwo i ratownictwo alpejskie, popierającą rozliczne prace naukowe, artystyczne, wydawnicze i wiele innych. Obecnie SAC liczy przeszło 31.000 członków zgrupowanych w 84 sekcjach (oddziałach), utrzymuje 116 schronisk górskich (nie licząc niezagospodarowanych schronów narciarskich), na które wydano z górą 2 i pół miliona fr. szwajc. i w których roczna frekwencja wynosiła np. w 1936 r. 75.510 osób, wydaje wspaniały miesięcznik „Die Alpen" o rocznej objętości kilkuset stron, a w prace swe wkłada rocznie przeszło pół miliona franków szwajcarskich.

Mówiąc o SAC, nie sposób nie wspomnieć również o zasłużonej działalności towarzystwa na polu ochrony przyrody i o usilnym przeciwdziałaniu różnym mało sympatycznym przejawom we współczesnym alpiniźmie (posuniętym zresztą już zbyt daleko, czego wyrazem może być ignorowanie w „Die Alpen" współczesnego modernizmu skalnego).

Na uroczystości jubileuszowe SAC, którego prezesem jest obecnie Adolf Spring, przybyła liczna rzesza delegatów krajowych i zagranicznych towarzystw górskich; Polskie Tow. Tatrzańskie reprezentował prezes Unii Międzynarodowej Towarzystw Alpinistycznych, Egmond d'Arcis. *W. Sł.*

**Schweizerische Stiftung für alpine Auslandexpeditionen** (Szwajcarski fundusz alpinistycznych wypraw zagranicznych) powstał w Szwajcarii z przeznaczeniem zebrania w pierwszym rzędzie funduszów na organizację wyprawy szwajcarskiej w Himalaje.

**Międzynarodowa wystawa polarna 1940 r.** odbędzie się w Bergen (Norwegia) w czasie od maja do września. W wystawie zamierza wziąć udział i Polska, zaproszona już oifcjalnie przez Komitet organizacyjny wystawy. 19 lutego br. odbyło się w Warszawie zebranie organizacyjne komitetu udziału Polski w wystawie, pod przewodnictwem prof. A. B. Dobrowolskiego. Zebranie wyłoniło ścisłą komisję organizacyjną z ppłk. J. Lewakowskim na czele, a MWR i OP wydelegowało do Komitetu przedstawiciela. Warto podkreślić, że udział nasz w międzynarodowej wystawie polarnej w Bergen byłby wielce pożądany ze względu na wcale poważny dorobek, jakim możemy się poszczycić w dziedzinie badań polarnych, rozwijanych — jak czytelnikom „Taternika" wiadomo — tak owocnie, zwłaszcza w ostatnich kilku latach. Pieniądze na cel tak ważny z punktu widzenia propagandowego powinny się znaleźć.

**Stały Sekretariat ASTT zawiesił swą działalność.** Wskutek spowodowanych ostatnimi zmianami politycznymi wielkich trudności, na jakie w swej pracy natrafił urzędujący w Krakowie Stały Sekretariat Asocjacji Słowiańskich Tow. Turystycznych, zawiesił on działalność swego biura do czasu unormowania się stosunków.

**Złote gody literackie Ferdynanda Hoesicka,** autora m. in. znanych monografii „Tatry i Zakopane" i „Legendowe postacie zakopiańskie", obchodzone były w Warszawie 23 kwietnia br. z inicjatywy Tow. Literatów i Dziennikarzy. W przeddzień P. Prezydent R. P. odznaczył zasłużonego pisarza Złotym Krzyżem Zasługi.

**Odznaczenia alpinistów.** Benito Mussolini przyznał w 1938 r .wysokie odznaczenia sportowe uczestnikom głośnego i tragicznego zarazem pierwszego przejścia pn.-wsch. ściany Piz Badile, dokonanego w lecie 1937 r. przez włoskich wspinaczy (p. „Tat." XXII, 78). Tak więc pośmiertne odznaczenia („Medaglie d'argento alla memoria") przyznane zostały zmarłym po dramatycznej wyprawie † Mario Molteniemu i † Giuseppe Valsecchiemu, prowadzący podczas tego wejścia Riccardo Cassin otrzymał medal złoty, a towarzysze jego, Gino Esposito i Vittorio Ratti — medale srebrne. W Niemczech zaś listami pochwalnymi odznaczeni zostali w roku bież. za działalność wysokogórską monachijczycy: dr Paul Bauer, Andreas Heckmair i Ludwig Vörg.

# Z PIŚMIENNICTWA

**Jan Gwalbert Pawlikowski: O lice ziemi.** Str. 399, z portretem autora i 38 rycinami. Wydawnictwo Państwowej Rady Ochrony Przyrody. Warszawa 1938.

Na krótko przed śmiercią znakomitego bojownika idei Parku Narodowego Tatrzańskiego ukazała się na półkach księgarskich jego książka: „O lice ziemi".

Państwowa Rada Ochrony Przyrody — pragnąc z jednej strony spopularyzować poglądy J. G. Pawlikowskiego na sprawy ochrony przyrody, z drugiej zaś dać wyraz hołdu dla Niego, jako dla duchowego ojca ruchu ochrony przyrody w Polsce — wydała wybór Jego pism, poświęconych sprawom ochrony przyrody i swojszczyzny. Pawlikowski, który był założycielem Sekcji Ochrony Tatr P.T.T., pierwszej na ziemiach polskich społecznej organizacji ochrony przyrody, twórcą idei Parku Narodowego Tatrzańskiego i wiceprezesem Państwowej Rady Ochrony Przyrody, rozwiiał od wielu lat ożywioną działalność publicystyczną walcząc o wprowadzenie w czyn idei ochroniarskich i zachowanie w czystości stylu zakopiańskiego. Toteż nadzwyczaj sta-

rannie wydany wybór pism zawiera szereg prac i artykułów podstawowych dla ruchu ochrony przyrody i swojszczyzny, i wszechstronnie ujmujących obrane tematy. Obrona lica ziemi Tatr i Podhala leżała Autorowi zawsze szczególniej na sercu, nic więc dziwnego, że znakomita większość książki poświęcona jest ochronie krajobrazu tej części Polski. W pracach Państwowej Rady Ochrony Przyrody Autor położył ogromne zasługi budując podstawy ideologiczne i organizacyjne ochrony przyrody. Dlatego też obszerny dział książki wypełniają te właśnie zagadnienia. Po umieszczonej na wstępie, dawno już wyczerpanej, klasycznej rozprawie „Kultura a Natura" (1913 rok), będącej jedynym w naszej literaturze zasadniczym traktatem o stosunku współczesnego człowieka do wolnej przyrody, następuje szereg artykułów o podstawowych zagadnieniach ochrony przyrody, a więc jej celach i środkach, prawie, organizacji społecznej i stosunkach międzynarodowych. Dział trzeci — najbardziej dla taterników interesujący — poświęcony jest ochronie piękna Tatr. W cyklu artykułów, głęboko uzasadnionych i popartych wielu przykładami (m. in. zilustrowaniem tendencyj ochroniarskich we współczesnym alpiniźmie niemieckim), walczy Autor o „postęp wartości duchowych ludzkości z potęgami poziomu i nizin".

Autor niejednokrotnie zajmował w swych publikacjach stanowisko przeciwne dzisiejszym nowoczesnym sportowym poglądom taternickim — sądzę jednak, że polegało to na nieporozumieniu. Nie należy o zjawiskach sądzić z ich pozorów zewnętrznych. Najważniejsze jest to, że każdy taternik musi zgodzić się z ochroniarskimi poglądami Autora. Każdemu, komu droga jest lina i hak taternicki, musi być również droga nie skażona i nie zakłócona, w całej pełni swej krasy dzika i pierwotna przyroda górska. Taternicy polscy na łamach swego organu, „Taternika", dawali niejednokrotnie wyraz temu stanowisku, toteż tym radośniej witają ponowne ukazanie się, zebranych już razem pism wielkiego miłośnika gór, będących najszlachetniejszym wyrazem walki o Tatry.

Zbiór zamknięty jest działem, znanym czytelnikom w przeważnej części z „Wierchów", poświęconym stylowi zakopiańskiemu. Tak jak dzikość i pierwotność przyrody związana jest ściśle z wnętrzem Tatr, tak styl zakopiański zrósł się z Podtatrzem. Zarówno więc walka o zachowanie pierwotnego charakteru przyrody jak i czystość stylu zakopiańskiego w budownictwie i sztuce miejscowej są w rozumieniu Autora walką o lice tej części ziemi, którą wszyscy tak bardzo ukochaliśmy.

Przez całą książkę przewija się ton, podkreślający szczególny udział w tej walce o Tatry — Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego i jego Sekcji Ochrony Gór, w której zawsze aktywny udział brali najczynniejsi polscy taternicy. *m. zaj.*

**Michał Pawlikowski: Góry i człowiek.** *Rozdział z historii kultury.* Str. 108 i 15 tablic ilustr. Biblioteki Medyckiej opus 15. Wydawnictwo Ligi Ochrony Przyrody w Warszawie, „Biblioteki Medyckiej" w Medyce i Zakładów Tow. św. Michała Archanioła w Miejscu Piastowem, 1939.

Książka pisana jest z absolutną pewnością siebie, często nieuzasadnioną, a stale zachęcającą do sprzeciwu, podobnie, jak jej ortografia, oparta na przepisach z XIX wieku. Autor omawia stosunek dawnej twórczości artystycznej i dawnego człowieka do gór, po czym nagle, dobiwszy do końca XIX wieku, porzuca dotychczasowy temat, by wdać się w zajadłą krytykę bardzo swoiście pojmowanych elementów sportowo-alpinistycznych w działalności człowieka w górach. Ten, najwięcej nas w „Taterniku" obchodzący rozdział jest ścisłym powtórzeniem tekstu ogłoszonego już przez autora w 1933 r. w „Wierchach" i „Przeglądzie Współczesnym" oraz w osobnem odbitce, do tego stopnia ścisłym, iż w książce wydanej w 1939 r. czytamy że "świeżo usiłują Anglicy przelecieć nad Everestem"!

Dokładne omówienie w „Taterniku" w owym czasie poglądów M. Pawlikowskiego („Tat." XIX, 82—3; XX, 165—6) zwalnia mnie od ponownego ich rozpatrywania: ani alpinizm, ani opinie autora nie zmieniły się w ostatnich latach. Autor zresztą zaraz na wstępie swej pracy zaznacza, że jest „dzieckiem gór", co więcej — wskazuje iż był taternikiem („miałem swoje chody bardzo trudne") ale skądinąd widzimy, iż nazywa „taternikami" ludzi absolutnie nic z taternictwem nie mających wspólnego, i że „spinaczki" (tak stale pisze) są dlań duchowo obce. Wynika stąd niekompetencja M. Pawlikowskiego w pisaniu o sprawach sportowo-górskich, do której dołącza się wielkopańskie lekceważenie faktów: dla autora są np. Frölich — zdobywcą Łomnicy, Stolarczyk — Świnicy i Gierlachu, a Fitz Gerald — Aconcagua.

Czyż więc, moim zdaniem, książka nie ma wartości? Bynajmniej. Większa jej część zajmuje bowiem pięknie napisane i na ogół trafnie syntetyzujące uwagi o temacie gór w malarstwie i literaturze europejskiej po epokę modernizmu (wyłącznie). Tu M. Pawlikowski — redaktor „Lamusa", autor „Harfy Eola" i „Hymnów strzelistych" i obrońca „Wczorajszego Okopu" — ma do powiedzenia wiele rzeczy ciekawych i w Polsce mało znanych. Jaka szkoda, że na tych cennych rozdziałach nie poprzestał!

*J. A. Szczepański.*

# SPRAWY KLUBU

**Nowym prezesem Klubu Wysokogórskiego PTT** został na Nadzwyczajnym Walnym Zgromadzeniu w Warszawie w dn. 12 marca br. wybrany prof. dr Walery Goetel, prezes Zarządu Głównego PTT, członek honorowy Klubu Wysokogórskiego.

**Zatwierdzenie statutu Klubu.** „Na mocy dezycji Komisarza Rządu m. st. Warszawy z dn. 14 stycznia 1939 r. Nr SP II—3/1083, wydanej na podstawie art. 21 prawa o stowarzyszeniach z dnia 27 października 1932 r. (Dz. U. R. P. Nr 94, poz. 808) wpisano do rejestru stowarzyszeń i związków Komisariatu Rządu m. st. Warszawy pod Nr. *1367* stowarzyszenie pod nazwą *Klub Wysokogórski Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego (w skróceniu K. W. P. T. T.)*. — Warszawa, dnia 20 lutego 1939 r. — Za Komisarza Rządu: (—) *L. Wędołowski* Naczelnik Wydziału Społeczno-Politycznego". Adnotacja powyższa wpisana została na egzmeplarzu statutu Klubu, zaopatrzonym pieczęcią Komisariatu Rządu m. st. Warszawy; tym samym statut Klubu został zatwierdzony urzędowo i zyskał moc prawną. Ogłoszenie urzędowe o zalegalizowaniu Klubu ukazało się w nrze 64 „Monitora Polskiego" z dn. 18 marca 1939 r. *Założycielami* Klubu Wysokogórskiego PTT są: Dąbrowski Zdzisław, Chwaścińska Hanna, Karpiński Adam, Korniłowicz Tadeusz, Kuleszyna Zofia, Kuratowski Roman, Mogilnicki Henryk Wład., Orłowski Witold, Ostrowski Wiktor, Siedlecki Stanisław, Sokołowski Marian, Zajączkowski Maciej i Żuławski Jerzy Wawrzyniec.

**Komitet Organizacyjny Polskiej Wyprawy w Himalaje,** którego skład podaliśmy w „Tat." XXIII, 24, został w ciągu ostatnich miesięcy powiększony. Prócz wymienionych tam osób wchodzą obecnie do Komitetu również pp.: szef Wojskowego Instytutu Geograficznego i prezes Oddz. Warszawskiego PTT, płk. dypl. Tadeusz Zieleniewski, p. Wiesław Drzewiecki i redaktor „Taternika", Zdzisław Dąbrowski.

**Z Koła Warszawskiego.** W dn. 16 marca 1939 r. odbyło się Zwyczajne Ogólne Zebranie Członków Koła Warszawskiego KWPTT, na którym — po przyjęciu sprawozdania ustępującego Zarządu i uchwaleniu mu absolutorium — wybrano nowy Zarząd i Komisję Rewizyjną. Po ukonstytuowaniu się Zarządu, lista jego jest następująca: przewodniczący i delegat Koła do Zarządu Klubu — J. Wawrzyniec Żuławski, zastępca przewodniczącego i sekretarz — mgr Stanisław Groński, skarbnik i przedstawiciel Zarządu Koła na posiedzeniach Zarządu Klubu — Ludwik Januszewicz, bibliotekarz — Justyn Wojsznis, gospodarz i ekwipunkowy — Tadeusz Orłowski. Do Komisji Rewizyjnej weszli: inż. S. W. Daszyński, H. W. Mogilnicki, i S. Siedlecki. W okresie kadencji poprzedniego Zarządu nastąpiło ostateczne uporządkowanie i zinwentaryzowanie sprzętu wysogórskiego, co Koło zawdzięcza ofiarnej pracy dr Zofii Radwańskiej - Kuleszyny. Zaznaczyło się natomiast znaczne osłabienie życia towarzyskiego w Kole, którego podniesieniem ma się zająć nowy Zarząd.

W roku bież. odbyły się trzy zebrania klubowe: na zebraniu w dn. 30 stycznia red. Z. Dąbrowski wygłosił referat pt. „Rozwój techniki alpinizmu na tle jego rekordów", a J. W. Żuławski opowiedział o przebiegu zeszłorocznego alpejskiego obozu treningowego KWPTT; na zebraniu w dn. 30 marca T. Orłowski zagaił dyskusję n. t. „Jak winien wyglądać przewodnik po Tatrach", wreszcie 27 kwietnia mgr J. Pierzchała wygłosił referat n. t. nowoczesnej techniki lodowej. W zebraniach tych brali udział członkowie Harcerskiego Klubu Tatrzańskiego.

Dyżury Koła i zebrania towarzyskie odbywają się w każdy wtorek w godzinach 19—20.

**IV Zwyczajne Walne Zgromadzenie Członków Klubu Wysokogórskiego PTT.** (Streszczenie protokółu).

Zgromadzenie odbyło się w dn. 4 września 1938 r. w Zakopanem, w lokalu Klubu Zakopiańskiego. Zgromadzenie otworzył prezes Klubu prof. dr M. Sokołowski w II terminie, o godz. 10.30, w obecności 12 członków zwyczajnych i honorowych Klubu, 1 członka uczestnika i 2 gości. Porządek dzienny, ogłoszony w „Tat." XXII, 175/6, uzupełniono wprowadzeniem osobnego punktu: „Zmiany statutu". Protokółował dr M. Zajączkowski.

Zagajając obrady przewodniczący poświęcił kilka słów zmarłym członkom Klubu, śp. Janowi Nowickiemu i śp. Józefowi Dery'emu, których pamięć obecni uczcili przez powstanie, po czym odczytał list z życzeniami pomyślnych obrad, nadesłany przez Spolok tatranských horolezcov „JAMES".

*Protokół z III Zwyczajnego Walnego Zgromadzenia,* ogłoszony w „Tat." XXII, 84—88, Zgromadzenie przyjęło bez zmian.

*Sprawozdanie Zarządu* z ubiegłej kadencji odczytał prezes prof. dr M. Sokołowski. Przedstiwiszy skład Zarządu, Komisji Wypraw i KomisjiRewizyjnej (p. „Tat." XXII 23, 24, 143), sprawozdawca scharakteryzował działalność Klubu, która rozwijała się głównie w dwóch kierunkach: programu wypraw ze szczególnym uwzględnieniem programu himalajskiego oraz działalności tatrzańskiej i wewnętrzno-organizacyjnej. W pierwszej

z tych dziedzin Zarząd wraz z Komisją Wypraw prowadził nadal przygotowania do wyprawy w Himalaje, wysyłając m. in. członka Klubu dr. T. Wiśniewskiego do Londynu celem przygotowania tamtejszego terenu dla odpowiednich starań. Zarząd wysłał poza tym w lecie 1938 r. grupę treningową na obóz alpejski w grupę Mont Blanc (p. „Tat." XXII, 170, 176; XXIII, 20-1) oraz poparł na gruncie Polskiego Tow. Wypraw Badawczych alpinistyczno-naukową wyprawę w Ruwenzori, w której weźmie udział 3 członków Klubu (p. „Tat." XXIII, 22). Prezes z uznaniem podkreśla również dużą inicjatywę prywatną w urządzaniu wypraw w góry zagraniczne (p. „Tat." XXII, 170-1, XXIII, 20-1). W dalszym ciągu mówca wspomina o czynnym zainteresowaniu Zarządu Klubu sprawami przewodnictwa tatrzańskiego (p. „Tat." XXII, 55), o akcji kursów taternictwa (p. „Tat." XXIII, 14), charakteryzuje trudności finansowe, a jednocześnie dodatni efekt w wydawaniu „Taternika" oraz wspomina o wizycie, w listopadzie 1937 r., Hugh Ruttledge'a w Warszawie i jej pozytywnych rezultatach propagandowych. Jeśli chodzi o ruch członków, to w roku sprawozdawczym 1 członek zwyczajny został mianowany członkiem honorowym, przybyło 3 członków zwyczajnych i 3 uczestników; zmarło 2 członków honorowych, ustąpiło 3 członków zwyczajnych i 2 uczestników; Klub składa się w chwili obecnej z 14 członków honorowych, 138 członków zwyczajnych i 28 członków uczestników — razem liczy zatem 180 członków. W zakończeniu sprawozdania prezes dziękuje członkom Zarządu za ofiarną pracę, w szczególności J. Wojsznisowi za prowadzenie skarbu i Komisji dla spraw przewodnictwa PTT, oraz Z. Dąbrowskiemu za redagowanie „Taternika". Mówca składa również podziękowania Zarządowi Głównemu PTT za stałe popieranie działań Klubu i za udzielone subwencje, oraz Oddziałowi Warszawskiemu PTT za udzielanie gościny Klubowi w lokalu Oddziału.

*Sprawozdanie finansowe Zarządu KWPTT za rok 1937* odczytuje skarbnik J. Wojsznis:

A. ZESTAWIENIE RACHUNKOWE

| Aktywa | | Pasywa | |
|---|---|---|---|
| Kasa | 447.84 | Fundusz Klubu | 25.330.15 |
| Dłużnicy | 2.195.79 | Koła Miejscowe i „Taternik" | 7.58 |
| Ruchomości | 2.096.55 | | |
| Niedobór | 20.597.55 | | |
| | 25.337.73 | | 25.337.73 |

B. ZESTAWIENIE DZIAŁALNOŚCI

| Straty | | Zyski | |
|---|---|---|---|
| Administracja | 816.71 | Składki dla Zarządu | 399.50 |
| Wyprawa w Alpy 1936 r. | 17.85 | Subwencje | 11.328.90 |
| Wyprawa w Andy 1936/7 r. | 22.356.05 | Niedobór | 20.597.55 |
| Wyprawa w Alpy 1937 r. | 2.625.59 | | |
| Subwencje wypłacone uczestnikom wyprawy alpejskiej | 5.400.— | | |
| Odpisano mylnie zaksięgowane w 1936 r. zaległe składki | 1.109.75 | | |
| | 32.325.95 | | 32.325.95 |

*Sprawozdanie Komisji Rewizyjnej* odczytał jej przewodniczący p. A. Ojrzyński.

*W dyskusji nad sprawozdaniami* zabierali głos: dr. Z. Radwańska - Kuleszyna, dr W. Gosławski, p. A. Ojrzyński, inż. W. Ostrowski, J. T. Wojsznis i dr M. Zajączkowski. W szczególności dr Radwańska - Kuleszyna, dr Zajączkowski i p. Wojsznis występowali przeciwko programowi himalajskiemu i Komisji Wypraw, ogólnie podniesiono braki w wyekwipowaniu w sprzęt alpejski obozów treningowych, ponad to p. Wojsznis wystąpił z krytyką stanowiska obecnego sekretarza PTWB, jako jednocześnie delegata Klubu do PTWB, a dr Zajączkowski postawił w imieniu nieobecnego z powodu choroby mgr. Z. Korosadowicza wniosek o rozwiązanie Komisji Wypraw i przekazanie jej czynności Zarządowi.

Odpowiadając imieniem Zarządu, prezes prof. dr M. Sokołowski m. in. stanął w obronie prac Komisji Wypraw i programu himalajskiego, który zresztą, wbrew stawianym zarzutom, i w teorii i w praktyce nie wyklucza innych wypraw; natomiast wyłącznie sprawami himalajskimi zajmie się specjalny Komitet Organizacyjny Polskiej Wyprawy w Himalaje, powołany przez Zarząd Klubu pod przewodnictwem p. A. Znamięckiego (p. „Tat." XXIII, 24).

Po ukończeniu dyskusji Zgromadzenie uchwaliło jednogłośnie wniosek Komisji Rewizyjnej o udzielenie absolutorium ustępującemu Zarządowi.

Następnie Zgromadzenie uchwaliło następujący *preliminarz budżetowy na r. 1939.*

| Dochody | | Rozchody | |
|---|---|---|---|
| Saldo z r. 1938 | 400.— | Administracja | 800.— |
| Składki członkowskie | 800.— | Wykonanie odznaki klubowej | 400.— |
| Sprzedaż odznaki klubowej | 300.— | Subwencja dla „Taternika" | 300.— |
| Zwrot pożyczek | 200.— | Saldo na r. 1940 | 200.— |
| | 1.700.— | | 1.700.— |

W preliminarzu nie uwzględniono „Taternika", który posiada oddzielną rachunkowość, ani kosztów wypraw Klubu, gdyż uzyskane na ten cel subwencje są przekazywane do kas wypraw i nie wpływają na wewnętrzną rachunkowość Klubu.

W dalszym ciągu Zgromadzenie dokonało *wyborów Zarządu i Komisji Rewizyjnej.* Skład ich podany był w „Tat." XXIII, 24. Prof. dr M. Sokołowski wybrany został prezesem przez aklamację, członkowie Zarządu w głosowaniu.

*Zmiany statutu* uchwalono w brzmieniu wymaganym przez Komisariat Rządu m. st. Warszawy, a ponad to wprowadzono poprawkę, na mocy której członkiem Zarządu Klubu może być członek Klubu zależny finansowo od Oddziału PTT.

Uchwalono następujące *wolne wnioski:* 1) wniosek mgr. Z. Korosadowicza w brzmieniu zmodyfikowanym w dyskusji: „Walne Zgromadzenie poleca Zarządowi rozwiązanie dotychczasowej Komisji Wypraw i mianowanie nowej"; 2) wniosek inż. W. Ostrowskiego: „Zarząd mianuje delegatem Klubu do Polskiego Tow. Wypraw Badawczych J. Wojsznisa"; 3) wniosek W. Paryskiego, aby wysyłać „Taternika" tym przewodnikom tatrzańskim, którzy się nim interesują. Poza tym uchwalono dezyderat inż. W. Ostrowskiego: „Walne Zgromadzenie zaleca Zarządowi wpłynięcie na Komisję przewodnicką, aby jak najrychlej przeniosła przewodnika S. Motykę do I klasy przewodników".

W zakończeniu prezes złożył podziękowanie dr Radwańskiej - Kuleszynie i inż. Ostrowskiemu za zajęcie się sprawą przyjęcia wycieczki włoskiej w Tatry (p. „Tat." XXIII, 15), po czym zamknął Zgromadzenie o godz. 14.30.

**II Nadzwyczajne Walne Zgromadzenie Członków Klubu Wysokogórskiego PTT.**
(Streszczenie protokółu).

Zgromadzenie odbyło się w Warszawie w dniu 12 marca 1939 r. w lokalu Klubu. Przewodniczył dr M. Zajączkowski, protokółował mgr S. Groński. Obecnych było 21 członków zwyczajnych Klubu i 1 gość.

Zgromadzenie otworzył dr M. Zajączkowski o godz. 11.35 i w dłuższym przemówieniu oddał hołd pamięci zmarłych członków honorowych — prezesa śp. prof. dr. Mariana Sokołowskiego i śp. prof. dr. Jana Gwalberta Pawlikowskiego. Zebrani wysłuchali przemówienia stojąc, a następnie uczcili pamięć Zmarłych minutą milczenia.

Zgromadzenie przyjęło porządek dzienny ogłoszony w „Tat." XXIII, 27.

Sekretarz mgr S. Groński odczytał *protokół z IV Zwyczajnego Walnego Zgromadzenia Członków Klubu* (p. wyżej). Protokół ten został przyjęty bez zmian.

W drugim punkcie porządku dziennego przewodniczący zgłosił imieniem Zarządu kandydaturę prof. dr. Walerego Goetla na stanowisko prezesa Klubu, po czym na życzenie zebranych zarządził 5-minutową przerwę.

(W czasie przerwy przewodniczący udzielił głosu obecnemu na Zgromadzeniu w charakterze gościa prezesowi Oddziału Warsz. PTT płk. T. Zieleniewskiemu, który odczytał pismo od prof. J. Escarra, zawierające podziękowania za serdeczne przyjęcie go przez PTT i Klub Wysokogórski w czasie jego pobytu w Warszawie (p. „Tat." XXIII, 23). Korzystając z okazji przewodniczący imieniem Klubu złożył płk. Zieleniewskiemu podziękowanie za gościnę udzielaną Klubowi przez Oddział i za stałe poparcie, którego Klub doznaje ze strony Oddziału. Płk. Zieleniewski w odpowiedzi oświadczył, iż uważa za naturalną pomoc PTT dla Klubu, który stanowi trzon PTT).

Po przerwie Zgromadzenie wybrało jednogłośnie prof. dr. Walerego Goetla prezesem Klubu Wysokogórskiego PTT (oklaski).

W trzecim punkcie porządku dzienego Zgromadzenie wybrało na wakujące miejsce w Zarządzie Klubu p. Tadeusza Orłowskiego, oraz p. Karola Mrózka na zastępcę w Komisji Rewizyjnej w miejsce mgr. Z. Korosadowicza, który wskutek ustąpienia z Komisji dr Z. Radwańskiej - Kuleszyny stał się w kolejności alfabetycznej członkiem Komisji.

Przystępując do czwartego punktu porządku dziennego przewodniczący oddał głos dyr. A. Znamięckiemu, przewodniczącemu Komitetu Organizacyjnego Polskiej Wypra-

wy w Himalaje. Dyr. Znamięcki komunikuje, że *Klub Wysokogórski uzyskał od władz brytyjskich zezwolenie na wysłanie w r. 1939 wyprawy w Himalaje Garhwalu.* Wyprawa wyruszy w kwietniu br. w składzie czterech alpinistów (oklaski). W dyskusji, jaka się w związku z tą wiadomością rozwinęła, zabierali głos: inż. S. W. Daszyński, Z. Dąbrowski, L. Januszewicz, S. Luxemburg i J. Wojsznis. Wyjaśnień udzielali imieniem Komitetu dyr. A. Znamięcki, inż. S. Bernadzikiewicz i inż. A. Karpiński. W szczególności poruszono sprawę wyekwipowania i propagandy prasowej wyprawy, przy czym dyr. Znamięcki oświadczył, iż Komitet Organizacyjny wyprawy postanowił sprawę propagandy prasowej wyprawy złożyć w ręce red. Z. Dąbrowskiego.

Poruszono również w obszernej dyskusji sprawę ekwipunku polskich wypraw alpinistycznych i zwłaszcza obozów alpejskich. Z zarzutami w tej sprawie wystąpił p. J. W. Żuławski (który ponad to zwrócił uwagę na zbyt późną porę, w której wyjeżdżają zwykle w Alpy nasze grupy treningowe), a następnie — szczególnie ostro — Z. Dąbrowski, który nawoływał do zerwania z metodą niepotrzebnych i ryzykownych eksperymentów w dziedzinie ekwipunku górskiego, a wykorzystywania przede wszystkim wielekroć bogatszych doświadczeń obcych. W dyskusji w tej sprawie wzięli jeszcze udział inż. Daszyński, dr Radwańska-Kuleszyna, inż. Karpiński i mgr J. Pierzchała, nad to dodatkowo Z. Dąbrowski i J. W. Żuławski.

Wśród innych spraw, które poruszono w tym punkcie obrad, wspomnieć należy przede wszystkim o zakomunikowanym przez przewodniczącego zatwierdzeniu statutu Klubu i wciągnięciu Klubu do rejestru stowarzyszeń (p. wyżej) oraz o uchwale Zarządu, dotyczącej wykonania odznaki klubowej. Odznaka będzie sporządzona z białego metalu w formacie max. 13×18 mm. Na wniosek inż. W. Ostrowskiego Zgromadzenie uchwaliło, że odznaki będą numerowane, zaś na wniosek inż. S. W. Daszyńskiego, że przydzielanie poszczególnych numerów odznaki będzie się odbywało drogą losowania.

Poruszono również sprawę roli Komisji Wypraw Klubu Wysokogórskiego PTT, przy czym zdanie, podkreślane przez J. Wojsznisa i Z. Dąbrowskiego, że Komisja Wypraw powinna być ograniczona jedynie do roli ciała doradczego przy Zarządzie Klubu, nie spotkało się z opozycją. Poza tym inż. W. Ostrowski wzywał Zarząd do wzięcia udziału przez Klub w organizowanej wystawie turystycznej.

O godz. 13,50 przewodniczący, wobec wyczerpania się dyskusji, zamknął obrady Nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia.

**Członkowie Klubu.** — P. Tadeusz Orłowski (Warszawa; Koło Warszawskie), dawniej członek uczestnik Klubu, został przeniesiony w poczet członków zwycz. KWPTT.

**Zgłoszenia członków.** W myśl § 15 Statutu KWPTT podajemy do wiadomości co następuje: Pp. red. Mieczysław Babiński, Adam Górka, Czesław Łapiński, Tadeusz Marcinkiewicz, Kazimierz Paszucha i Marian Paully (Kraków) oraz Jerzy Bałuk i Zbigniew Kubiński (Zakopane) wnieśli do Zarządu podania o przyjęcie w poczet członków zwyczajnych KWPTT. — Pp. Witold Gądzikiewicz, Marian Marcinkowski i Zenon Michalik (Kraków) oraz Ryszard Woyna (Zakopane) wnieśli do Zarządu Koła Krakowskiego KWPTT podania o przyjęcie w poczet członków uczestników tego Koła. — Pp. Urszula Kołaczkowska, inż. Janusz Klarner, Czesław i Jerzy Mierzejewscy (Warszawa) oraz Czesław Hryniewiecki (Radom) wnieśli do Zarządu Koła Warszawskiego KWPTT podania o przyjęcie w poczet członków uczestników tego Koła.

## DO WSZYSTKICH TATERNIKÓW

**W związku ze zmierzającą ku końcowi pracą nad I i II tomem nowego Przewodnika po Tatrach Wysokich, przygotowywanego przez Z. Dąbrowskiego i W. Paryskiego, oraz kompletowaniem brakujących materiałów do tomów III—VII, autorzy Przewodnika zwracają się z gorącym apelem o nadsyłanie (Z. Dąbrowskiemu pod adresem: Warszawa, Nowy Świat 41 m. 1; KWPTT) wszelkich uwag o drukowanych już opisach wejść tatrzańskich, opisów nie drukowanych i wszelkich nieujawnionych danych historycznych co do dróg skalnych w Tatrach Wysokich. Nadsyłane materiały będą zwracane na żądanie.**

**Wydawca: KLUB WYSOKOGÓRSKI P. T. T. ● Redaktor: ZDZISŁAW DĄBROWSKI**

● OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA GOTÓWKĄ ●

**Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa**